BIBLIOTEKA UMCS
czas 2552/1978/2

W NUMERZE:

NAŁĘCZÓW 1978 — Tadeusz Jasiński str. 3

Poznaję Bochum — Ireneusz J. Kamiński str. 4

WIERSZE WACŁAWA OSZAJCY str. 5

I KAZIMIERZA SMALCUGI str. 9

POEZJA RUMUŃSKA str. 6

Opowiadanie Czesława Kuriaty str. 11

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 22 I 1978 Nr 2 (644) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

WĘGIEL UCZY POKORY

Maciej Podgórski

W końcu został wydarty ziemi. I to nie symboliczne kilogramy z odwiertów poszukiwawczo-geologicznych. Poszło w tony — z poziomu 710 metrów, drążonego szybu nr 1 kopalni pilotującej koło Bogdanki. 3 stycznia budowniczowie kopalń z mysłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych dotarli do kilkudziesięciocentymetrowej warstwy lubelskiego węgla, na razie nie przeznaczonej do eksploatacji, i zaczęli iść głębiej, w kierunku pokładów eksploatacyjnych. Jeszcze sto, dwieście metrów...

8 STYCZNIA w referacie Biura Politycznego KC PZPR wygłoszonym przez Edwarda Gierka podczas II Krajowej Konferencji Partyjnej fakt dotarcia do lubelskiego węgla został wymieniony wśród ważnych osiągnięć gospodarki narodowej. Gdy piszę te słowa, leży obok na moim stole kilka sporych kęsów trochę matowych, trochę połyskliwych, węgla z szybu nr 1. Córka chce zabrać jedną bryłkę i ofiarować swojej szkole na pamiątkę.

Tymczasem w szybie nr 1 trwa nadal uporczywa robota wokół głębienia. I nowe trudności. Poniżej poziomu mrożenia wdziera się woda. Trzeba budować stację pomp i zaczynać odwodnienie, prace głębieniowe czasowo wstrzymać. „Normalna sprawa" — powiadają górnicy, jakby nie pamiętający już swego sukcesu z 3 stycznia, który przeszedł zrazu cicho.

Miało być inaczej i przeszło rok wcześniej, na Barbórkę 1976. Z po-

Dokończenie na str. 12—13

Kultura i gofry

Zdzisław Kłosowski

W TARNOGRODZKIM Gminnym Ośrodku Kultury — znanym zresztą nie tylko w byłym powiecie biłgorajskim, ale też szeroko poza jego granicami z wzorcowych, rzec można, poczynań — pracowały z dużym powodzeniem, od wielu lat, dwie młode panie. Ośrodek z roku na rok, za sprawą umiejętności, wiedzy, a też osobistego uroku tych pań i nie bez sprawności organizacyjnych dyrektora obrastał w coraz nowe osiągnięcia i zasłużony rozgłos.

Na dobrą sprawę nic nie zapowiadało załamania się tej linii rozwojowej, a tym bardziej jakiegoś większego wstrząsu, mogącego zachwiać istniejący ład i osiągniętą przez lata pracy pozycję Ośrodka. Niezgłębione są jednak możliwości zdarzeń.

Od pewnego czasu, niespodziewanie dla zainteresowanych, zaczęło się dziać coś złego. Jakieś informacje — „nie z pierwszej ręki" — docierały do pań i niepokoiły je. Niepokój wzmagała świadomość, że dawna, dobra reputacja w poprzednim układzie administracyjnym może nie liczyć się, że w nowym województwie nowe władze kulturalne nie muszą przecież mieć aż tak dobrego mniemania o ich zawodowej wartości, a w tych wieściach o rozważaniu decyzji

Dokończenie na str. 5

Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

Malarz na koniu

WISI na ścianie, jest białe i gra. Co to jest? Otóż nie idzie bynajmniej o trawestację starozakonnego śledzia, lecz o radio marki „pionier", ebonitowe, czynne, pomalowane na biało i zwisające ze ściany na drucie. Ponadto jeszcze wiszą: szabla pruska, szkielet siodła czyli terlica, kompletne siodło kawaleryjskie, ostrogi i podkowy z różnych epok, hełmy wojskowe z ostatniej wojny, odznaczenia ojca i dziadka oraz dyplom sportowy, który informuje, że kolega Maciej Falkiewicz podczas spartakiady wyższych szkół artystycznych w 1969 roku, w Warszawie, zdobył II miejsce w biegu na 1500 metrów.

No i jeszcze wiszą obrazy, których autor powiada, że najbardziej lubi malować w pełnym słońcu. Barwne, migotliwe pejzaże, głównie malowane akrylami i olejami widoki uliczek i domostw Janowa Podlaskiego.

Dostrzegam ponadto: jeden stolik, jedno krzesło, dwa spania, jeden mały telewizorek turystyczny, buty z cholewami, parę dwie, trochę książek. Kredensu, szafy, lodówki, odkurzacza, pralki — zdecydowanie brak. Brak również śladów ręki kobiecej, bo Falkiewicz powiada, że jak któraś dziewczyna bierze się za porządki, to on z miejsca wietrzy niebezpieczeństwo i na wszelki wypadek zaczyna pożegnanie.

Dokończenie na str. 13

z notatnika

6 I. 65 rocznica urodzin Towarzysza Edwarda Gierka — Pierwszego Obywatela Ludowej Rzeczypospolitej, wybitnego działacza polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego. W przeddzień Jubileuszu telewizja przedstawiła program obrazujący drogę życiową I Sekretarza KC PZPR.

Z imieniem Edwarda Gierka nierozłącznie jest związany postęp społeczno-gospodarczy, który dokonał się w naszym kraju w ciągu ostatnich siedmiu lat. W liście Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR do Jubilata czytamy m. in. „Kierując się niezłomnie zasadami marksizmu-leninizmu i żarliwym umiłowaniem Ojczyzny, wnieśliście wielki osobisty wkład w budowę patriotycznej jedności narodu. Wasza aktywna działalność na arenie międzynarodowej dobrze służy interesom kraju a także najdroższej wszystkim narodom sprawie pokoju".

Leonid Breżniew kieruje do Edwarda Gierka pismo z serdecznymi życzeniami: „Nasz kraj zna Was dobrze jako wielkiego przyjaciela KPZR i Związku Radzieckiego, niezachwianego marksistę-leninowca, internacjonalistę, który przeszedł proletariacką szkołę walki klasowej. Słusznie zaskarbiliście sobie wysoki autorytet i uznanie ludzi pracy w Polsce za swój wkład do wspaniałych sukcesów osiągniętych przez naród polski w budownictwie socjalistycznym pod przewodnictwem jego bojowej awangardy — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej..."

Depesze, gratulacje napływają i z Polski i z zagranicy. Stanowią one wyraz szacunku dla Człowieka, którego całe życie może stanowić wzorzec patriotyzmu i internacjonalizmu.

9 I. W Warszawie rozpoczyna się II Krajowa Konferencja PZPR. „Krajowe konferencje partyjne — przypomina „Trybuna Ludu" — odbywające się między zjazdami, są nową statutową formą w działalności naszej partii, formą wprowadzoną po jej VI Zjeździe. Stanowi ona niewątpliwie wzbogacenie metod demokracji partyjnej: sprzyja szerokiej kontroli realizacji przyjętych uchwał, dokonywania bilansu dorobku, zwiększa możliwość społecznej inspiracji..."

Referat Biura Politycznego KC „O konsekwentną realizację programu podnoszenia jakości pracy i warunków życia, o dalsze umocnienie przewodniej roli partii i pogłębienie moralno-politycznej jedności narodu" wygłasza Edward Gierek.

Referat jest bardzo klarowny, język trafia do słuchaczy. Zaczyna się od przypomnienia pryncypiów polityki partii, charakteryzuje najwybitniejsze osiągnięcia, a następnie analizuje problemy wymagające pilnych rozwiązań.

● W żadnym dotychczasowym okresie Polski Ludowej, jak nigdy zresztą dotąd w historii, krajobraz naszego kraju nie zmieniał się tak szybko. We wszystkich regionach powstają nadal nowoczesne zakłady przemysłowe, w każdej prawie wsi wznoszone są nowe domy i obiekty gospodarcze. Pięknieją nasze osiedla. Coraz skuteczniej chronimy i kształtujemy naturalne środowisko — utrwalamy piękno naszej ziemi ojczystej.

Ale:

● Niewystarczające jest zmniejszenie materiałochłonności i energochłonności procesów wytwórczych. Zbyt mała poprawa następuje w dziedzinie jakości produkcji. Istniejące zasoby nie zawsze jeszcze są zadowalająco wykorzystane — marnotrawstwo czasu materiałów i niepotrzebne koszty powodują, że uzyskujemy mniej towarów finalnych niż byłoby to możliwe.

Referat stwierdza, że polityka, którą prowadzimy od siedmiu lat, świadomie pobudza potrzeby społeczne. Przyśpieszenie zaspokajania jednych potrzeb społecznych potęguje inne. Większy rozmach budownictwa to jednocześnie większe zapotrzebowanie na meble i inny sprzęt domowy.

Ważna jest polityka płacowa, należy w niej bardziej konsekwentnie wiązać wzrost wynagrodzeń ze wzrostem wydajności pracy, poprawą jej efektywności i wydajności.

Znamienną cechą naszej humanistycznej polityki jest wynikająca z troski o przyszłość narodu dbałość o sprawy rodziny, o jej umocnienie i pomyślność. Duży nacisk kładziemy na poprawę stanu zdrowotności. Na lata 1976—1980 wzrost nakładów na zdrowie i opiekę społeczną wyniesie prawie 60 proc. w stosunku do poprzedniego pięciolecia. Obowiązkiem władz administracyjnych i gospodarczych jest traktowanie rozbudowy obiektów ochrony zdrowia jako zadania o wielkiej wadze społecznej oraz efektywne wykorzystanie przeznaczonych na ten cel środków.

Proces stopniowego skracania czasu pracy powinien być kontynuowany, w uzależnieniu od dalszego wzrostu wydajności i dyscypliny pracy.

W formie propozycji referat Biura Politycznego przedkłada II Konferencji i inne zadania z dziedziny polityki społecznej, a więc podwyższenia płacy najniższej, dalsze polepszenie poziomu życia rencistów i emerytów, rozważenie wprowadzenia już w obecnej pięciolatce — jeśli warunki na to pozwolą — zasiłku dla matek wychowujących małe dzieci, matek, które już dziś korzystać mogą z trzyletniego, bezpłatnego urlopu.

Referat Biura Politycznego dużą uwagę poświęca sprawie poprawy sytuacji rynkowej. Wprawdzie w 1977 r. zwiększono ponad plan dostawy towarów przemysłowych o 13 mld zł, a żywnościowych o prawie 10 mld zł, ale nie zaspokoiło to popytu w niektórych asortymentach. Od handlu oczekujemy bardziej aktywnego oddziaływania na kształtowanie oferty rynkowej, energicznego egzekwowania jakości wyrobów i terminowości dostaw.

Partia zdecydowanie przeciwstawia się nieuzasadnionemu podwyższaniu cen przez niektóre organizacje gospodarcze oraz wycofywaniu z produkcji wyrobów poszukiwanych przez ludność.

Kluczem do poprawy warunków życia jest program wyżywienia narodu, nakreślony przez XV Plenum KC PZPR. Rolnictwo i praca na roli uzyskały wysoką społeczną rangę. Utrzymane zostaną wysokie nakłady na inwestycje rolne. Kombinat Nawozowy Police II pomoże w lepszym użyźnieniu gleby, a modernizacja fabryki ciągników rolniczych w Ursusie polepszy mechanizację wsi.

Osobny fragment poświęca referat Biura Politycznego sprawie budownictwa mieszkaniowego. W latach 1976—1980 należy zbudować 1575 tysięcy nowych mieszkań. Trzeba bardziej elastycznie dopasowywać technologię budownictwa do potrzeb i możliwości poszczególnych regionów kraju. Państwo tworzy coraz korzystniejsze warunki kredytowe i materiałowe dla budownictwa jednorodzinnego.

W sprawach gospodarczych referat podkreśla, że czołowym zadaniem jest poprawa efektywności i lepsze wykorzystanie potencjału wytwórczego. Trzeba zapewnić skuteczne preferencje dla inwestycji modernizacyjnych. Wielką rolę ma tu do odegrania krajowy potencjał naukowo-badawczy, należy też poprawić wykorzystywanie licencji, oraz doskonalenie prac postlicencyjnych. Przy planowaniu inwestycji bardziej musimy uwzględniać potrzeby kooperacji, eliminować nieuzasadniony import. Podniesienie jakości wyrobów to droga na rynki światowe.

Obecny i przyszły rozwój Polski wiążemy nierozerwanie ze stałym postępem w rozwoju społeczno-gospodarczym całej wspólnoty państw socjalistycznych, a przede wszystkim z braterską współpracą z ZSRR. Obecnie wchodzimy w coraz szersze, wzajemnie korzystne związki kooperacyjne z gospodarką radziecką.

Nadal będziemy poświęcać wielką uwagę krajowej bazie surowcowej.

Polityka partii opiera się na dążeniu do umacniania patriotycznej jedności narodu. Nie ma takich problemów o których nie moglibyśmy w naszej partii i społeczeństwie dyskutować. Metodę konsultacji powinniśmy dalej doskonalić i utrwalać.

Po podkreśleniu, że celem naszej polityki jest wszechstronna realizacja praw ludzi pracy oraz nadanie wyższej rangi przedstawicielskim organom władzy (celowe wydaje się powołanie przy radach narodowych specjalnych organów w postaci komitetów kontroli społecznej) referat zwraca uwagę na wielkie znaczenie socjalistycznych wartości moralnych. Zapobiegać musimy zdecydowanie powielaniu obyczajów konsumpcyjnych społeczeństw kapitalistycznych. W skali powszechnej większy nacisk należy położyć na sprawę postaw, na moralne wartości i kryteria, na przestrzeganie socjalistycznych norm i zasad współżycia. Nasze społeczeństwo jest zdrowe moralnie, uczciwe i rzetelne, są w nim potężne siły konstruktywne, które trzeba uruchomić do walki przeciw wszystkiemu, co sprzeczne z normami socjalizmu, co obraża godność narodową, zasady sprawiedliwości i społecznej moralności. Trzeba dbać o to, aby żaden przypadek naruszenia zasad naszej moralności i norm prawa nie został zlekceważony, lecz dokładnie sprawdzony, aby nie zaniedbano wyciągania konkretnych wniosków z personalnymi włącznie.

Dalszy fragment referatu poświęcony jest młodzieży. Wychowując młodych w duchu socjalizmu i zespalając w pracy dla kraju, dążyć trzeba do tego, aby młody Polak postępował mądrze i szlachetnie w każdej sytuacji, w życiu rodzinnym i w życiu publicznym, w pracy, wobec starszych i kolegów, wobec siebie i wobec społeczeństwa. Podkreślając rolę inteligencji, Biuro Polityczne oczekuje, że dzieła inteligencji twórczej będą uwrażliwione na dążenia narodu, zwrócone ku jego rozwojowi i perspektywom.

W końcowej części referatu mowa jest o zadaniach instancji partyjnych i każdego członka PZPR. Idzie o to aby przykład członków partii i ich oddziaływanie wychowawcze przyczyniały się na co dzień do pobudzania społeczno-zawodowej aktywności społeczeństwa, do głębszego rozumienia polityki partii i państwa. Rozwój naszego kraju również obecnie odbywa się w walce klasowej, siły antysocjalistyczne z zewnątrz inspirują i wspierają nieliczne grupy przeciwników socjalizmu wewnątrz kraju, które nadużywając w złej wierze wolności demokratycznych, demagogicznie atakują zasady ustrojowe naszego państwa i usiłują wnosić zarzewie konfliktów do naszego społeczeństwa.

Polska aktywnie uczestniczy w wielkiej koalicji pokoju. Odprężenie stało się dominującą tendencją w Europie i wywiera pozytywny wpływ na całą sytuację międzynarodową. Najważniejszą dziś sprawą jest położenie kresu wyścigowi zbrojeń i zapoczątkowanie rozbrojenia.

Podstawą umacniania wspólnoty socjalistycznej jest jedność i współdziałanie ze Związkiem Radzieckim. Stosunki polsko-radzieckie są dziś bliższe i bardziej wszechstronne niż były kiedykolwiek. Wchodzimy w wyższy etap ich rozwoju. We wszystkich ważnych sprawach ruchu komunistycznego i robotniczego stoimy na gruncie wspólnych dokumentów międzynarodowych narad i wspólnego programu berlińskiej Konferencji Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy.

Niezłomnym dążeniem polskich komunistów — brzmią końcowe słowa referatu — jest zapewnienie naszemu narodowi dostatniego życia i wszechstronnego rozwoju, utrwalenie godnej pozycji Polski w świecie. Są to ogólnonarodowe zadania, ich realizacja jest wspólną sprawą wszystkich patriotów. Przed nami dużo pracy. Podejmujemy ją z odwagą i oddaniem. Dla dobra narodu polskiego. Dla dobra naszej ojczyzny. Dla dobra socjalizmu i pokoju.

11 I. Konferencja zakończyła wczoraj obrady. Po dyskusji, którą obszernie relacjonuje zwłaszcza „Trybuna Ludu", delegaci jednomyślnie przyjęli trzy rezolucje:

● w sprawie dotychczasowych wyników i aktualnych zadań partii w realizacji uchwał VII Zjazdu PZPR;

● w sprawie wyników prac partyjno-rządowych zespołów problemowych powołanych przez IV Plenum KC PZPR;

● w sprawie wyborów do rad narodowych stopnia podstawowego.

Przemówienie końcowe wygłosił Edward Gierek.

Z naszych czterech wschodnich województw głos w dyskusji zabrali: Stanisław Stawecki — robotnik przeładunkowy ze stacji PKP w Małaszewiczach, woj. białskopodlaskie, Władysław Kruk — I sekretarz KW PZPR w Lublinie, Mieczysław Furmanek — członek KW w Zamościu, rolnik ze wsi Teodorówka, gm. Frampol, Halina Okoń — sekretarz ZW Ligi Kobiet w Chełmie i Aleksander Bąbczyński członek KW w Lublinie, dyrektor Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Ten ostatni na zakończenie pierwszego dnia obrad zameldował o dotarciu do pierwszego lubelskiego węgla.

Kiedy górnicy wręczali ów skarb I Sekretarzowi KC, nikt nie mógł pozostać obojętny. To był najbardziej wzruszający moment w przebiegu Konferencji. Otwarcie nowego etapu w rozwoju Ziemi Lubelskiej, Ziemi Chełmskiej w rozwoju całego kraju.

MAJ

Szpalta o sporcie

INAUGURACJA kącika sportowego w „Kamenie" zbiegła się z wydarzeniem, na które czekał świat sportowy i kibice piłkarscy z wielkim niepokojem. Wszyscy oglądaliśmy w telewizji losowanie finałów piłkarskich mistrzostw świata „Mundial 1978". Trzymaliśmy kciuki za polską drużynę i... pomogło. Drużyna nasza znalazła się w jednej z dwu teoretycznie najlżejszych grup. Gramy z rozstawioną drużyną RFN oraz z dwoma nie najwyżej notowanymi zespołami: Meksykiem i Tunezją. Podobna sytuacja jest w grupie IV (my gramy w III), gdzie obok rozstawionej Holandii i Szkocji typowanej na czarnego konia „Mundial 78" znalazły się dużo słabsze Peru i Iran. Nie powiodło się faworyzowanym przez system losowania Włochom, które obok rozstawionego gospodarza mistrzostw trafiły na drużyny o zwyżkującej formie: Węgry i Francję.

Cieszymy się razem ze wszystkimi kibicami z wyników losowania i życzymy polskiej drużynie sukcesu już w dniu otwarcia mistrzostw (1 czerwca), kiedy to zmierzy się ona z mistrzami świata, RFN.

Nie zapominajmy jednak, że wszyscy chcą wygrać, że czerwiec na południowej półkuli to początek zimy, a Rosario — miejsce dwu meczów Polski (6.VI z Tunisem i 10.VI z Meksykiem) leży na 30 równoleżniku szerokości południowej czyli mniej więcej tak jak Kair na półkuli północnej.

Wierzę jednak w sukces polskiej drużyny, a kibicom życzę, by ściskanie kciuków w czerwcu dało nie gorsze rezultaty niż w sobotę, 14 stycznia 1978.

***

Mniej niż piłką nożną emocjonujemy się narciarstwem alpejskim. Świetny Szwed Ingemar Stenmark we wszystkich trzech konkurencjach zdobywa po 25 pkt do punktacji Pucharu Świata; jeszcze ani razu nie zajął drugiego miejsca. Ale w walce o ułamki sekund trwa nie tylko konkurencja mięśni i umiejętności zawodników, lecz także interpretacja kruczków regulaminowych. Nie przebrzmiała jeszcze sprawa kombinezonu w którym startowała Annemarie Proll, a wybuchła inna sprawa: kształtu i wielkości numerów startowych, które też powodują pewien opór dla powietrza. Wprowadzono w zeszłym roku zamiast numerów przypinanych — samoprzylepne, lecz te nie zawsze chciały się trzymać. Zawodnicy obcinali nazwy miejscowości, napisy reklamowe, a Herbert Plank poobcinał rogi numeru. Austriacy domagali się dyskwalifikacji Planka za „niedozwoloną zmianę numeru". Jury protest odrzuciło stosunkiem głosów 3:1.

***

Sensacje nad Dunajem wywołała decyzja Węgierskiego Związku Bokserskiego, który postanowił nie przedłużać na rok bieżący kontraktu z Laszlo Pappem. Po wielu latach sukcesów bokserów węgierskich nie zdobyli oni żadnych medali ani na Olimpiadzie w Montrealu, ani na mistrzostwach Europy w Halle. Prasa węgierska zarzuca Pappowi zbyt wielką pobłażliwość w traktowaniu zawodników kadry. Laszlo Papp obiął trening sekcji młodzieżowej klubu Obuda na przedmieściu Budapesztu.

tgw

13 stycznia zmarł w Rzeszowie w wieku 58 lat

JERZY PLEŚNIAROWICZ

literat, b. członek kolegium redakcyjnego „Kameny", wspaniały kolega, człowiek wielkiego serca.

Cześć Jego pamięci!

Kolegium redakcyjne i zespół „Kameny"

NAŁĘCZÓW 1978

Tadeusz Jasiński

ZANIECHAM opisu położenia nałęczowskiego uzdrowiska. Nasi czytelnicy pamiętają ze szkolnych lektur topografię Cisów i dobrze wiedzą, ktorymi ścieżkami Joasia i doktor Judym chadzali. Mogą też przywołać prusowskie wzruszenia z kronik tygodniowych, a zresztą czy i sami nie mieli już okazji zwiedzić Nałęczowa współczesnego? Całe miasto to uzdrowisko, a uzdrowisko to przecież miasto, ktore właśnie w tym roku obchodzić będzie swoje piętnastolecie. Tak, nazwa znana jest od 1731 roku, gdy rodzina Małachowskich herbu Nałęcz objęła w posiadanie średniowieczną wieś Bochotnica Kościelna, a jako kurort co najmniej od 178 lat. Mój rozmówca, Janusz Góra, bardzo dba, aby w mojej pamięci zostały te graniczne daty. Jest w Państwowym Przedsiębiorstwie „Uzdrowisko Nałęczów" kierownikiem zakładowego ośrodka informacji, czuje się więc odpowiedzialny za to, aby w roku 1978, roku obchodu wielu rocznic ważnych dla tej instytucji i miasta, trzymać się faktów. Właśnie 11 lutego mija 100 lat od chwili, gdy trzej lekarze po powrocie z Sybiru zakupili i odrodzili tutejsze sanatorium. To właśnie Fortunat Nowicki, Konrad Chmielowski i Wacław Łasocki spowodowali, że jeżdżenie „do wód" w Nałęczowie stało się modne. Słyszę znane literackie nazwiska: Antoni Odyniec, Kazimierz Gliński, Jadwiga Łuszczewska-Deotyma, Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski, Maria Rodziewiczówna, Kazimierz Andrzej Jaworski, Antoni Słonimski i kilku spośród żyjących. Jest też lista książek, które w „Cisach" powstały.

Pilno mu jednak do współczesności. Mgr Tomasz Podgórski jest dla mnie rozmówcą szczególnie pożądanym, jako że pełni funkcje dyrektora tego dużego przedsiębiorstwa i przewodniczącego Komitetu Miejskiego i Gminnego Frontu Jedności Narodu. Wpływają właśnie od organizacji społecznych kandydatury radnych, trzeba jeździć do wiosek, wysłuchiwać gospodarskich dyskusji przedwyborczych, ustalić listy kandydatów, a zawodowa praca też nie znosi przerw. W sprawie struktury uzdrowiska, jego wielorakich funkcji, mam rozmawiać z mgr. Ryszardem Saburynem, głównym specjalistą do spraw organizacji i zarządzania, a sam dyrektor znaleźć może dla przedstawiciela „Kameny" dwie godziny. Więc dobrze, słucham, zadaję pytania. Nie zwykłem dowiadywać się od dyrektorów naczelnych, iż dążą do ograniczenia własnego przedsiębiorstwa, przeciwnie, na ogół ludzie na tego rodzaju stanowiskach cierpią na gigantomanię. Tymczasem Tomasz Podgórski jest rzecznikiem położenia w najbliższym czasie kresu rozbudowie miasta, a szczególnie placówek leczniczych. Tego samego zdania jest naczelnik Leon Ginalski. Taki program przyjęły władze polityczne i administracyjne Nałęczowa. Przewodniczący MiGK FJN wyraża więc stanowisko ogółu: górna liczba kuracjuszy w całym mieście nie powinna jednorazowo przekraczać 2200, a nowe sanatoria najlepiej wybudować w Celejowie, na trasie między Nałęczowem a Kazimierzem Dolnym, bo stwierdzono naukowo, iż są tam te same warunki klimatyczne, a więc i możliwości leczenia chorych na serce.

Nie w tym jest rzecz, że tysiąc mniej czy więcej kuracjuszy oddychałoby nałęczowskim powietrzem. Chodzi o to, że dla większej ich liczby potrzebne by były dodatkowe piekarnie, masarnie, sklepy, liczniejszy transport. Nowe inwestycje sanatoryjne powodują poza tym zniszczenie drzewostanu, budowę dróg dojazdowych itd. Niebezpieczeństwo to sygnalizowali także naukowcy z Instytutu Ochrony Środowiska Politechniki Warszawskiej i właśnie oni tę górną granicę rozwoju wyznaczyli. Dyrektor Tomasz Podgórski stwierdza po prostu:

„Po to ich o badania i naukową ekspertyzę prosiliśmy, aby teraz nasuwające się wnioski konsekwentnie wprowadzić w życie. Samo przedsiębiorstwo zyska jeszcze dwa nowe sanatoria, w budowie są placówki energetyków i Centralnego Związku Kółek Rolniczych, który zresztą to bogato wyposażone sanatorium przekaże pod bezpośredni zarząd dyrekcji uzdrowiska, rezerwując sobie 170 miejsc do rozdziału pomiędzy chorych rolników. A huta w Ostrowcu Świętokrzyskim, Związek Zawodowy Metalowców, a Lubelskie Zagłębie Węglowe i inni? Im właśnie zostanie zaproponowany Celejów, jeżeli uzyskamy zgodę na wprowadzenie naszych sugestii w życie u władz wojewódzkich oraz w Zjednoczeniu „Państwowe Uzdrowiska". Mikroklimat Nałęczowa nie może być zakłócony. Cóż z tego, że zbudowalibyśmy tu tyle sanatoriów, ile tylko pragną poszczególne resorty i zakłady, jeśli w tym przepełnionym ośrodku leczenie okazałoby się nieskuteczne, a przebywanie w nim uciążliwe? Z programem zahamowania inwestycji występuję nie tylko z racji dyrektorowania oraz przewodniczenia FJN, ale także jako stojący na czele Komisji Branżowej Branżowego Ośrodka Uzdrowiska w Nałęczowie (tę potworność nazewniczą wymyślili dla całej Polski czuli na muzykę słowa ludzie ze wspomnianego Zjednoczenia — T.J.), mającej m. in. na celu koordynację poczynań. W ten sposób zasady leczenia w sanatoriach Związku Nauczycielstwa Polskiego, Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Wschodniej Dyrekcji Kolei Państwowych, domach Funduszu Wczasów Pracowniczych, „Gromady", „Turysty" i innych placówkach są podobne oraz ściśle związane z Uzdrowiskiem i jego przychodnią. Po zrealizowaniu zatwierdzonych inwestycji górna liczba kuracjuszy przewidziana dla Nałęczowa zostanie osiągnięta. Teraz mamy doskonałe wyniki leczenia, czemu mielibyśmy je utracić?"

Naczelnym lekarzem przy naczelniku miasta i gminy, a zarazem zastępczynią dyrektora do spraw lecznictwa w PP „Uzdrowisko Nałęczów" jest dr Zofia Janik-Strobel. U niej właśnie znajduję potwierdzenie słuszności rozważań i dążeń T. Podgórskiego. Kilku lekarzy uzdrowiska przeprowadziło badania wśród byłych kuracjuszy, którzy po pierwszym zawale i dwukrotnym leczeniu w Nałęczowie teraz znajdują się w swoich miejscach zamieszkania. Okazuje się, że aż 80 proc. kontynuuje swoją poprzednią pracę w pełnym wymiarze godzin, 5 proc. podjęło ją, ale na zasadach półetatu, a tylko 15 proc. musiało skorzystać z renty inwalidzkiej. Dawniej zawałowcy przechodzili z reguły na rentę. Współczesny system leczenia oraz metody rehabilitacyjne sprawiają, że nie ma ani takiej potrzeby, ani uzasadnienia medycznego. Nałęczów jest jedynym jednokierunkowym uzdrowiskiem w kraju, stąd duże zainteresowanie ośrodkiem ze strony specjalistycznych instytutów naukowo-badawczych Akademii Medycznych w Lublinie (pod kierunkiem prof. Jana Kowalskiego i doc. dra Mariana Markiewicza) oraz Kliniki Kardiologicznej Centrum Kształcenia Podyplomowego w Warszawie pod naukowym kierownictwem profesora Edmunda Żery. Pozwala to na współuczestniczenie w badaniach i podnoszenie kwalifikacji miejscowym lekarzom, a nadto na stosowanie sprawdzonych metod terapii bezpośrednio w uzdrowisku, w jego szpitalu kardiologicznym, całym systemie leczenia. Dr Janik-Strobel mówi też o współudziale w przywracaniu do zdrowia kuracjuszy nie tylko lekarzy i średniego personelu medycznego, ale także ludzi spoza służby zdrowia. Samo leczenie, terapia zajęciowa, a szczególnie wdrażanie do wysiłku i przywracanie równowagi psychicznej rekonwalescentów to jedna strona, a wypełnianie ich potrzeb duchowych, kulturalnych to druga ważna sprawa.

Rzeczywiście, od dawna widać, że w „Uzdrowisku Nałęczów" ten dział pracy jest rozbudowany i nadaje ton całemu Pałacowi Małachowskich. W rozmowach z kierowniczką działu kulturalno-oświatowego Marią Walczakówną i jej współpracownicami można wyczuć, że żywią one głębokie przekonanie, iż ich praca jest także jedną z form leczenia. Dzięki staraniom tego zespołu kuracjusze nie muszą zrywać z dotychczasowymi zainteresowaniami, a wielu dopiero w uzdrowisku znajduje czas i możliwości skorzystania z różnych imprez kulturalnych, no i z biblioteki. Coroczne „Nałęczowskie Divertimento" jest wynikiem współdziałania kilku instytucji Lublina i Nałęczowa, ale odbywa się przecież właśnie w „Pałacu" i daje możliwość wysłuchania najwybitniejszych muzyków polskich i zagranicznych. Państwowa Filharmonia im. H. Wieniawskiego w Lublinie koncertuje tam także nieodświętnie, przyjeżdżają aktorzy, pisarze, naukowcy, publicyści, no i trwa codzienna, żmudna praca z własnymi zespołami.

Nie miałem możności uczestniczyć w kolacji dyrektorskiej przy świecach, a wiadomość o niej zabrzmiała mi prawie, jak kapitański obiad. Trzeba by znaleźć się w Nałęczowie na początku nowego turnusu, właśnie wtedy nowi kuracjusze zapraszani są na taką kolację przez dyrektora naczelnego uzdrowiska. Tu mają spotkać się z dobrą opieką lekarską, wspieraną wiedzą naukowców, osiągnięciami światowej kardiologii i nauk pokrewnych. Mają się wyzbyć lęków, uzyskać ufność w możliwość długiego jeszcze życia, złagodzenia lub całkowitego oddalenia się od nich choroby naszego wieku. Nie wnikając w skomplikowane tajniki medyczne można pojąć, dlaczego medycyna osiąga tam tak doskonałe wyniki, czemu o miejsca w tym ośrodku ubiegają się także dość licznie kuracjusze zagraniczni. Rozumiem też lepiej pod koniec reporterskiego dnia dążenia dyrektora Tomasza Podgórskiego i władz Nałęczowa. Ci ludzie pragną, aby Nałęczów zachował swoje niepowtarzalne walory klimatyczne i przyrodnicze. Tegoroczne jubileusze będą stanowiły okazję do bardziej szczegółowego podsumowania dotychczasowych osiągnięć.

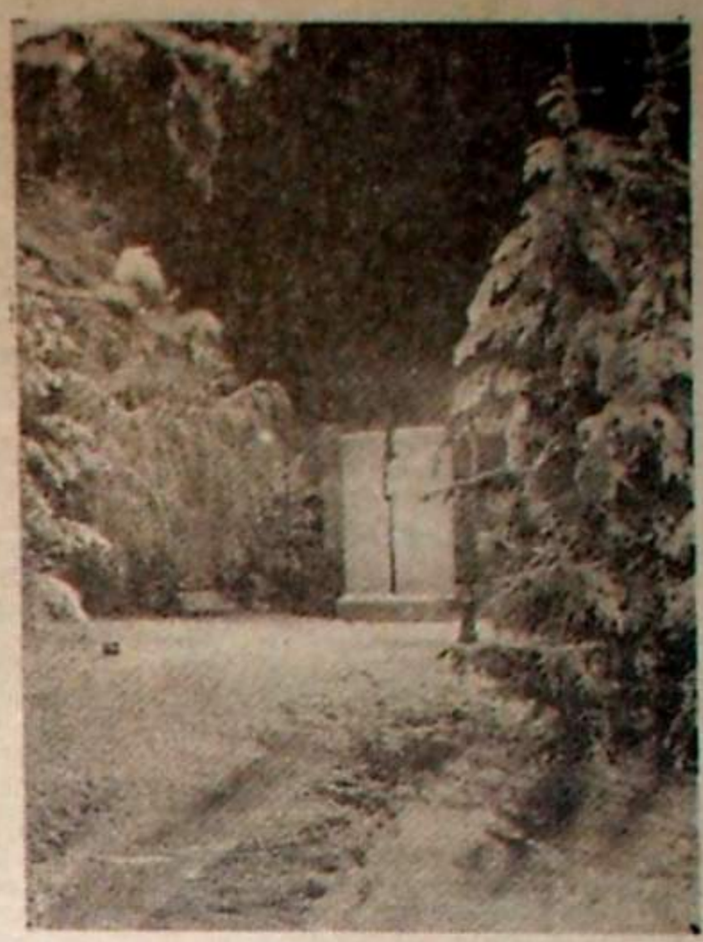

Pomnik Bolesława Prusa

Fot. L. Malicki

Fragment Pałacu Małachowskich

Fot. L. Malicki

POLONIJNE SPOTKANIA W RFN (I)

Poznaję Bochum...

Ireneusz J. Kamiński

Z ZAPROSZENIEM Związku Polaków „Zgoda" w RFN, największej organizacji polonijnej w tym kraju, ląduję na lotnisku w Kolonii. Jest początek listopada, ale słońce przygrzewa jak w maju, więc nastrój mam niezły, choć spięty jestem troszeczkę w środku, co chyba normalne w wypadku faceta, który po raz pierwszy znalazł się na zachód od historycznej rzeki Łaby i z wczesnego dzieciństwa zapamiętał paski papieru naklejone na szyby ojca uczącego po cichu bladych chłopaków i chude dziewczyny, a także okrągłe żelazne „jajka" ukryte w łapczanie rodziców i dopiero przed wyzwoleniem nazwane głośno granatami.

Ale jest dobrze. Celnika nie interesują moje bagaże, muska palcami daszek swojej służbowej czapki, więc i ja oddaję honory przy pomocy nakrycia głowy z firmy „Cieszkowski" w Warszawie (ulica Marszałkowska 103, pawilon 28), które jeszcze w kraju uznane zostało przez znajomych jako produkt typowo niemiecki.

Dworzec lotniczy w Kolonii jest przytulny, podzielony na kameralne boksy i czysty; z listów gończych na ścianach spoglądają terroryści.

„O co im chodzi?!", pyta retorycznie pani Maria Ambroży, pracowniczka Zarządu Głównego „Zgody" w Bochum, która doczekała się wreszcie rodaka i wiezie go swoim volkswagenem — polo do wspomnianego miasta, odległego od Kolonii o około 80 kilometrów. Gazuje ostro, zmuszając do maksymalnego wysiłku wszystkie 40 koni niewielkiego samochodziku, który jak i pozostałe nowe modele tej firmy przypominają nieco linią fiata 127.

Pyta retorycznie, a potem opowiada, jak to niedawno do jednego z banków w Bochum wtargnął niemłody mężczyzna, błyskawicznie oblał kasjerkę benzyną i zapaliwszy zapalniczkę zażądał pieniędzy, grożąc zwęgleniem niewiasty. W porę zawiadomiona policja zastrzeliła człowieka, jak się okazało ojca czworga dzieci. Z innego banku dwóch rabusiów wyniosło jednak bezkarnie 23 tysiące marek — cena pierwszorzędnego mercedesa — przepadając w zaułkach przemysłowego miasta Bochum.

Zatrzymywani co kilka kilometrów przez „korki", krótkotrwałe zresztą, pędzimy trzypasmową autostradą, która 6600 kilometrami opłata Republikę Federalną Niemiec, łącząc się z podobnymi traktami całej Europy zachodniej. Więc komplementuje gościniec, bąkam coś o urodzie dworca lotniczego i jego czystości, przypominam sobie boisko piłkarskie, które widziałem koło hangarów. „Tak, oczywiście, ale tu ciągle trzeba myśleć o jutrze, ciągle jest się w napięciu", wtrąca pani Maria, poprawiając czarne włosy okalające drobną, ładną twarz.

Wjeżdżamy na przedmieście Bochum. Okazuje się, że tu właśnie mieści się hotel „Roter Hirsch" — moja stała siedziba podczas miesięcznego pobytu w RFN. Budynek jest niewielki, ma dwa piętra i mansardę, a wzniesiono go chyba z pięćdziesiąt lat temu. Pod samym dachem widnieje wielki cementowy łeb jelenia, z którego szerokimi smugami spływa czerwona farba — wiadomo, „Czerwony Jeleń" brzmi nazwa przybytku. Ale to nic, bo obok budynku spostrzegam ze zdumieniem jachtowy maszt flagowy, na którego szczycie powiewa polska, biało-czerwona! Trochę przybrudzona, lekko postrzępiona, ale jednak polska. Nie byle jakim gościem, widać, jestem! „Ta flaga wisi tutaj stale", sprowadza mnie do właściwego wymiaru pani Maria. „Manfred Poschlad jest w kontakcie ze „Zgodą" i często goszczą u niego polskie zespoły artystyczne czy sportowe".

Herr Poschlad, właściciel hotelu (z restauracją) okazuje się być człowiekiem 37-letnim, dość wysokim i barczystym, nieco brzuchatym, a przede wszystkim jowialnym i gościnnym. Zaraz wlewa we mnie dwie marki, pardon, małą wódkę oraz spory kufel piwa, którego to napoju w kraju nie pijam, co mogą poświadczyć bywalcy lubelskiego klubu „Nora". Jego sentyment do Polaków bierze się stąd — informuje — że ktoś tam z rodziny, w trzecim pokoleniu wstecz, nazywał się po prostu Poślad i wywędrował do Niemiec z kraju nad Wisłą. Dlatego też, kiedy między Zarządem Głównym „Zgody" a Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowym UMCS w Lublinie doszło do rozmów na temat ufundowania stypendium dla wybranej osoby z Polski, nie wahał się i zaoferował bezpłatnie dach nad głową i wyżywienie dla owego wybrańca. „Ma pan pokój numer 4".

Taszcząc walizki do owej „czwórki" na pierwszym piętrze, rzuciłem jeszcze okiem na oszklona gablotę w korytarzyku między salą restauracyjną, a kuchnią. Wisiało w niej i leżało kilkadziesiąt proporczyków o polskich barwach narodowych i klubów sportowych, wiele pamiątkowych plakietek z różnych miast i instytucji naszego kraju, także rzecz jasna, z Lublina.

A kiedy powróciłem, Manfred Poschlad, przepasany białym fartuchem jak klasyczny karczmarz z filmów typu „płaszcz i szpada", wlał we mnie kolejny kufel piwa, czemu z pobłażliwym uśmiechem przyglądał się wystukany w metalu i wiszący nad moją głową (na ścianie) cesarz Wilhelm Wielki, wspinający bojowego rumaka. Nie wzbudziłem natomiast żadnego zainteresowania dwóch siwowłosych staruszek, które w kącie knajpki żywo popijały „Ritter pils" albo może „Dab". Zatem poszedłem spać, mając do dyspozycji dwa łóżka.

Nazajutrz była sobota, a więc wolny od pracy dzień słoneczny. Miałem przed sobą kilkanaście godzin swobodnej włóczęgi po obcym mi mieście, liczącym ponad 400 tysięcy mieszkańców i znanym z rozwiniętego przemysłu maszynowego, elektrotechnicznego, spożywczego, z kopalń i hut, w których pracowały tysiące Polaków, osiedlających się tutaj w pogoni za chlebem już w drugiej połowie minionego wieku.

Włóczę się zatem, obserwuję, trochę notuję. Oto sklep cukierniczy przy Hattinger Strasse, prowadzącej trzema kilometrami od mojego hotelu do centrum miasta: różne ciasta, torty, kremy, marcepany — cała witryna zawalona tym białym, różowym i słodkim. A zaraz obok sklep z zabawkami: ogromne misie, krasnale, gry, elementy do składania, samobieżne machiny i modele hitlerowskich junkersów oraz messerschmidtów i u—bootów, przyozdobione swastykami i czarnymi krzyżami. Między tymi sklepami, na murze, uśmiechają się do mnie z listu gończego terroryści: młodzi, po dwadzieścia i kilka lat, urodziwi, wychowani w scenografii marcepanów i junkersów, które każde dziecko, nawet zahamowane w rozwoju, potrafi zmontować według załączonej instrukcji...

Dwa kilometry dalej staję przed salonem „Mercedesa — Benza", którego znak rozpoznawczy majestatycznie obraca się na wielkim maszcie, strzelającym w niebo z dachu pobliskiego wieżowca. Błyszczą wozy świetnym lakierem, a niewielka czerwona plansza informuje, że firma zwiększa swoją produkcję: w 1975 roku puścili w świat ponad 597 000 wozów różnych typów, natomiast w 1976 — więcej niż 618 000. Odchodząc od salonu spostrzegam w grubej szybie witryny maleńką dziurkę o lekko postrzępionych brzegach — jak od kuli pistoletu maszynowego.

Trzy minuty drogi i wpadam do rogu obfitości, który pod postacią targowiska rozłożył się na rozległym placu przed dworcem głównym ważnego węzła kolejowego Bochum. W ruchomych straganach, przypominających duże przyczepy kampingowe z odsłoniętym bokiem, można kupić wszystko: owoce i mleko, kwiaty i mięso, sery i wędliny, ceramikę i swoiste adaptacje dzieł malarstwa światowego, czyli reprodukcje (np. Breughla starszego) na podłożu lustra, które prześwituje w takich miejscach pejzażu, jak niebo, woda, ślizgawka... Tłoczno tutaj i głośno, właściciele straganów ubrani w absolutnie białe kitle niektórzy w złoconych okularach, uśmiechają się zachęcająco do klientów, tylko jeden pan handluje kwiatami w sposób znany z dawnego Kiercelaka — wykrzykując do rymu i gestykulując zabawnie. Jest w tym jarmarku coś z ludowej zabawy, tyle że uporządkowanej żelaznymi regułami obyczaju, który uznając handel za rzecz świętą, nie dopuszcza na plac swawoli i farmazoństwa. Trudno więc się dziwić, że świeży afisz jakiejś grupy studenckiej z uniwersytetu, wzywający z pobliskiego słupa do udziału w wiecu w obronie czarnej Rodezji, nie zwraca najmniejszej uwagi. Ogłoszeń o podobnej treści spotkałem zresztą wiele, po kilku godzinach pobytu w Bochum czuje się obecność studentów, związanych na ogół z „nową lewicą" i często wiecujących — choćby przeciwko bombie neutronowej.

Boże, dzięki ci za dyskretną opiekę nade mną, robaczkiem materialistycznym, żeś mnie skierował do Museum Bochum, gdzie właśnie czynne było „Forum Junger Kunst 77" czyli krajowa wystawa młodej sztuki. Nasycony lekturą rewolucyjnych afiszy, mając jeszcze w pamięci wielkie i częściowo już zamalowane farbą kryjącą napisy na murach, w rodzaju „Portugalia będzie czerwona!", znalazłem się oto w świecie estetyki, metafizycznej zadumy nad przemijaniem czasu, narcyzmu i konceptualizmu, w świecie, do którego społeczne i polityczne kwestie dookolnej rzeczywistości nie mają raczej dostępu. Owszem, młodzi Niemcy potrafią malować i mają pomysły. Oto 31-letni Martin Schwarz z Kolonii parafrazuje pejzaż Hobbema, przedstawiając ten sam wycinek natury z innego punktu widzenia, co daje całkiem interesującą kompozycję, nie mówiąc już o materii do ogólniejszej refleksji nad stosunkiem współczesnych do tradycji artystycznej, która utraciwszy aurę (Benjamin) stała się przedmiotem dowolnych manipulacji. Oto 23 lata liczący Heinz-Hermann Jurczak z Düsseldorfu prezentuje całkiem wyrafinowany malarsko, w gruncie rzeczy abstrakcyjny „Tryptyk II" 27-letni Karl — Ludwig Schmidt z tegoż Düsseldorfu wystawia wielką owalną tarczę z jakiegoś brązowego tworzywa, pokrytą tajemniczymi znakami, które odsyłają nas w odległą przeszłość — domenę archeologii i historii. Rzecznicy konceptualizmu czy fotoarte robią i wystawiają to, co do nich należy.

Naturalnie, ekspozycja ujawnia również inne ambicje i nastroje młodego pokolenia. Wspomniany Martin Schwarz parafrazuje Aldorfera w duchu pacyfistycznym. Marisa Vola (35 lat) z Heidelbergu wyszydza pewne sprawy obyczajowe, Willi Kemper z Dortmundu, liczący 33 lata, w świetnie zorganizowanym pejzażu przemysłowym wyraża zagubienie człowieka w świecie nowoczesnej techniki. Prace tego rodzaju nie decydują przecież o ogólnym charakterze „Forum Junger Kunst 77", gromadzącym 147 realizacji kilkudziesięciu autorów. Nasuwa się podejrzenie, że rewolucyjność młodych kończy się tutaj po trzydziestce, ściślej — po otrzymaniu dyplomu wyższej uczelni. Wtedy życie dobiera się na serio do człowieka, zmuszając go do respektowania zasad obowiązujących w społeczeństwie sytym, zamożnym, broniącym swego stanu posiadania. W takim układzie smutny jest los skrajnej awangardy artystycznej, tożsamej zresztą nierzadko z lewicą polityczną. Przeciętny Niemiec, tak się później zorientowałem, ceni sobie spokój, a więc i pejzaże z niebieską wodą i ośnieżonymi górami (80—100 marek sztuka), takież wyszywanki, ceramiczne psy i tygrysy — tak jak przeciętny Polak, powiedzmy to sobie szczerze.

Opuszczając Muzeum Bochum zapytałem żartobliwie jakiegoś młodego człowieka w dyżurce, czy ktoś tu mówi po polsku. Uśmiechnął się, zaprzeczył i zniknął. A po chwili usłyszałem za plecami: „Izwinitie, gawaritie pa ruski?!". Jakżeby nie?! — odpowiedziałem zwracając się w stronę barczystego mężczyzny w średnim wieku, który okazał się dyrektorem muzeum. Porozmawialiśmy trochę z dr. Peterem Soielmanem... A kiedy na koniec zapytałem o społeczne zainteresowanie sztuką — mając w pamięci pustawe raczej sale wystawowe — dyrektor odparł: „Wie pan, obywatele są syci, więc rozumie pan... Ale od kiedy pozbawiliśmy muzeum attrybutów świątyni, nie narzekamy na frekwencję. Proszę spojrzeć na tę grupę młodzieży szkolnej — takie i liczniejsze goszczą tutaj codziennie". Chciałem poinformować dr. Spielmana, że u nas jest podobnie, ale ugryzłem się w język.

Obdarowany przez dyrektora katalogami wystaw, w tym Władysława Hasiora, opuściłem stylowy przybytek sztuki, mijając na schodach uczniów jakiejś średniej szkoły, ubranych w zielonkawe, jakby wojskowe kurtki; na ich rękawach barwiły się miniaturowe flagi RFN.

Po kilku godzinach włóczęgi mam prawdziwy mętlik w głowie, co może i zrozumiałe, ale męczące przecież. Pewne przekonania, z którymi tu przyjechałem, znajdują potwierdzenie w migawkowych obserwacjach, inne — jakby chwieją się w posadach. No bo tak: w kinie „Atelier" leci film o normalnym człowieku Hitlerze według znanej na Zachodzie książki Joachima C. Festa, w kinie dworcowym — seanse od 9 rano do 23 — dają obraz „Stukasy nad Londynem", w innym — „Most pod Arnheim", czyli heroiczną epopeę z udziałem „14 światowych gwiazd", m. in.: Gene Hackmana, Laurence'a Olivera, Roberta Redforda i Liv Ullmann, magazyn „Quick" drukuje w odcinkach rzecz Johna Tolanda o zwyczajnym Hitlerze, w witrynie księgarni pana W. Bremkensa przy Brückstrasse wdzięczy się pięć różnych książek o führerze i jedna o Bormanie (właściciel księgarni wyeksponował je na czerwonym stoliczku o krótkich nóżkach) — gdy tymczasem w dworcowym sklepiku z prasą międzynarodową i książkami oraz komiksami praca historyczna o państwie Hitlera i Adenauera spoczywa wśród pozycji przecenionych, a znajomy Polak stara się mnie wieczorem przekonać, że oglądanie filmów i czytanie wydawnictw o wodzu III Rzeszy to kwestia zwykłej ciekawości, mody retro i niczego więcej, że faszystowska NPD nic nie znaczy w życiu politycznym RFN, że zjazdy ziomkostw to w gruncie rzeczy spotkania towarzyskie starych znajomych, a tylko aktyw tych organizacji jest agresywny... „Mam kolegę — kontynuuje — który był niegdyś w Hitlerjugend, bo jak wielu innych musiał być. Jego związek emocjonalny z tamtymi czasy przejawia się tylko w ten sposób, że facet co dwa tygodnie, mniej więcej, kupuje nową parę butów — ponieważ w 1945 r. chodził boso, no i ma taką szewską obsesję dzisiaj" Odpowiadam: „Wdzięczny przykład, ale jak pan rozumie artykuł, który swego czasu ukazał się w jednej z gazet CDU, stwierdzający jednoznacznie, że Związek Polaków „Zgoda" wysyła swoich członków do Polski na przeszkolenie partyzanckie?!" A on na to: „A czytał pan odpowiedź, jaką wystosował Stefan Perkowski z Mannheim do redakcji?! To była ostra replika, proszę pana. A poza tym ja osobiście, jako działacz „Zgody", niejednokrotnie korzystam z pomocy władz miejskich, na przykład gdy chodzi o uzyskanie sali na zebranie gromady Związku..."

Wspomniany sklepik dworcowy z prasą międzynarodową (m. in. „Magazyn Rodzinny", „Przekrój", „Perspektywy") i książkami to w ogóle ciekawy punkt obserwacyjny. Periodyki z zakresu sztuki spoczywają obok „Super-sexu", beletrystyczne gloryfikacje miłości lesbijskiej przeglądają się w uczonych pracach z astrologii i buddyzmu „zen", a wśród książek przecenionych znajduję także albumy ze znakomitymi reprodukcjami Maxa Ernsta i Rousseau (z 16.80 marek na 9.80), „Niemiecką psychologię" A. W. Petrowskiego (19.80 — 8.95) oraz pokaźną pracę B. Suchodolskiego z teorii marksizmu (12.80 — 3.95) która na moich oczach bierze do ręki, przegląda i kupuje młoda, wysoka dziewczyna, przypuszczalnie studentka! Jakby specjalnie dla mnie, dla dziennikarza z Polski gest ten „popełnia".

Po południu szukam „Probentheater", gdzie dają „Hamleta" w reżyserii Petera Zadka, który znany jest z tego, że lubi wprowadzać na scenę sytuacje, mówiąc oględnie, erotyczne. Plakat sztuki obiecuje widowisko pełne sado-masochizmu.

Kamena str. 4

Kultura i gofry

Dokończenie ze str. 1

rozwiązania z nimi umowy o pracę może być ziarno prawdy.

Panie nie były aż tak bardzo ciekawe, czym się to skończy, nie chciały też owycn pogłosek sprawdzać na przysłowiowej własnej skórze. Nie czekając na zwolnienie, same zerwały stosunek służbowy z Ośrodkiem i obie w jednym czasie odeszły - uprzedzając tym samym ewentualny atak strony przeciwnej. A że dziewczyny miały poczucie humoru i sympatię do Tarnogrodu — odeszły w sposób, który zadziwił nie tylko mieszkańców osady.

Jest w Tarnogrodzie w pobliżu Ośrodka Kultury nieduży domek, o urokliwej fasadzie, ale nie pierwszej już młodości. Domek ten od dawna był ponoć przeznaczony do rozbiórki. Chociaż czas płynął, to nie spieszyło się nikomu go burzyć. Może i zapomniano o nim. Za aprobatą władz osady panie weszły w użytkowanie tego domku. Odnowiły go, a jakże, i ku ogólnemu zainteresowaniu — bo osada nieduża, a ludzie spragnieni wrażeń, chociaż życzliwi sobie — założyły w owym domku coś, co jak głosił pięknie wykonany szyld zwało się „Małą Gastronomią". O pomysłowości ludzka!

Zbliżał się dzień otwarcia lokalu, więc dzielne panie złożyły wizytę władzom osady. „Trzeba by jakoś oficjalnie i uroczyście, panie naczelniku: wstęga, nożyce, szampan i toast, okolicznościowe przemówienie. Pan nam nie odmówi, jakżeby to?!" — kusiły pół żartem, pół serio. I dopięły swego.

Był dzień otwarcia i przyszły władze odświętnie ubrane. Symboliczne przecięcie wstęgi nastąpiło przy drzwiach prowadzących na zaplecze, wewnątrz lokalu. Nie można przecież wzbudzać niezdrowych sensacji przed domem na ulicy! Przemówienie bez kartki, od serca i najpiękniejsze, wygłosił sekretarz: „Ten dom miał być już dawno zburzony, ale dzięki dzielnym paniom będzie jeszcze dobrze służył przez długie lata mieszkańcom i gościom naszej osady...".

Tarnogród leży przy turystycznej trasie między Roztoczem a Przemyślem, biegnącej ku Bieszczadom. W sezonie turystycznym — szlak ruchliwy. Dużo gości przejezdnych, a i miejscowa ludność powiększa się o młodzież spędzającą wakacje u rodziców. Tutejsza gospoda jak może tak żywi, ale w popołudniowe i wieczorne godziny zamienia się w niechlujną „mordownię" przepełnioną bełkotem pijanych. Dotąd w Tarnogrodzie nie było lokalu, w którym można by kupić takie delicje, jak świeże ciastko, napój firmowy, gofry, lody, dobrą kawę, herbatę. Tę lukę wypełniła „Mała Gastronomia". Nic więc dziwnego, że lokal zaczął cieszyć się od początku powodzeniem w osadzie.

Duże utargi, niemałe zarobki, pełne ręce roboty — to już tylko zrozumiałe konsekwencje sytuacji, w której znalazły się obie panie.

To, czego żadna z pań nie przewidziała, przyszło później. Okazało się, że prawie sześć lat pracy w kulturze jednej pani i niemal dziewięć lat drugiej, zrobiło swoje. Miejscowi ludzie, a szczególnie ci z zespołów i kół zainteresowań, nie przyjęli do wiadomości, że „Mała Gastronomia" w małym domku i Gminny Ośrodek Kultury w dużym budynku — to dwie różne instytucje. Tarnogrodzki styl życia nie poddał się formalizacji; jest to zresztą typowe dla małych miejscowości. Amatorski teatr i zespół folklorystyczny był bardziej pani Heleny niż GOK-u, a ludzie z Klubu „Złotego Wieku" utrzymywali kontakty nie z GOK-iem, nie z instruktorką GOK-u, ale z panią Gosią. Dla kogoś są to pozycje w budżecie, limity, etaty, dla ludzi z osady — człowiek i to, co sobą reprezentuje.

„Kiedy zrobimy najbliższe spotkanie naszego klubu?". Chwila zastanowienia i pani Gosia ustala termin i sposób zawiadomienia. Nie wyprowadza z błędu pytającego. A może pytający nie jest w błędzie? Raczej to drugie. Pani Gosia w pełni odpowiada za decyzję. Podjęta się nowej roli, ale z dawnej nie rezygnuje. Tak, jak dawniej, jeżeli nikt jej w tym nie przeszkodzi, będzie organizowała zajęcia dla emerytów. Jeszcze nie wie, gdzie. Tu, w „Małej Gastronomii", czy tam, w GOK-u.

Na progu staje zdyszana starsza kobieta, pozdrawia nas, siedzących przy stoliku. Odnalazła wzrokiem panią Helenę, uśmiecha się.

— No to jak z tym wyjazdem do Kazimierza? A żeby tylko nie w tych łachach, co w zeszłym roku, bo się upiec można w taki gorąc. (Chodzi o stroje ludowe i wyjazd na festiwal do Kazimierza).

— Nie bójcie się, załatwimy w tym roku lżejsze, przewiewniejsze stroje — i coś tam jeszcze na temat terminu wyjazdu mówi spokojnie pani Helena.

Po odejściu kobiety bawimy się niecodzienną sytuacją. „Konkurencyjna kultura", bez limitów, etatów, budżetów, struktur i systemów! Bawimy się, bo obie panie i ja wiemy, że rozmowa była prowadzona na serio, z odpowiedzialnością za słowo, ze znajomością realiów tarnogrodzkich. Jak zaistnieje potrzeba, to jedna z pań pojedzie z zespołem do Kazimierza, a dyrektor GOK-u nie będzie miał nic przeciw temu.

— A dyrektor — pytam — odwiedza panie?

— Tak, przychodzi. My często korzystamy z telefonu GOK-u, bo tu jeszcze nie założyłyśmy.

Dyrektorka sąsiedniego GOK-u złożyła wizytę koleżankom w „Małej Gastronomii". Była ciekawa, jak to się stało, że odeszły z GOK-u, jak się urządziły, jak oceniają tę nową sytuację. Rozmowa odbyła się na zapleczu. Pani Gosia powiedziała wtedy:

— Słuchaj, stara, jak upiekę gofra, jak go położę tu, na dłoni, to czuję, że coś mam, że coś zrobiłam, a tam?

Rozmawiałem z dyrektorem tarnogrodzkiego GOK-u. To młody jeszcze, ale poważny człowiek. Od początku, od prawie dziesięciu lat na tym stanowisku serio i ambitnie traktował swoje zadania. Niechętnie dzieli się własnymi domysłami i niesprawdzonymi informacjami o przyczynie odejścia koleżanek z pracy.

— Trudno, stało się — mówi z troską, ale nie ukrywa złości na własną bezradność. — I to musiało się stać akurat teraz, w tak gorącym czasie, kiedy tyle roboty. Ale one pomogą — pociesza się — a może, a może nawet wrócą!

W rozmowach z mniej lub bardziej wtajemniczonymi ludźmi spotkałem się z różnymi ocenami tego zdarzenia. Ci, co zwykli przeliczać życie na złotówki i z dużą łatwością upraszczają je, skłonni są widzieć w decyzji instruktorek GOK-u tylko chęć zdobycia większych zarobków. Po prostu interes, nic poza tym. Dla tych, którzy dopatrują się we wszystkim sensacji — sprawa urosła do rangi kontestacji przeciw zinstytucjonalizowanemu życiu społecznemu; do próby sił na własny koszt i ryzyko; do precedensu prywatnej inicjatywy w kulturze. A pewien smutny realista widzi w tej historii reakcję na znudzenie brakiem wymiernych efektów w pracy kulturalnej; zwyczajną ludzką chęć oglądania owoców własnej pracy, choćby w postaci wspomnianego gofra, który ma swoje realne wymiary, kolor, smak, zapach i o którym prawdopodobnie zawsze można powiedzieć, czy jest dobrze, czy źle zrobiony.

Oczywiście, możliwe są jeszcze inne, bardziej wnikliwe i sprawiedliwe oceny. Pozostawmy je jednak bohaterkom opisanej historii, które na własnej skórze odczuły działanie mechanizmu uruchomionego czyjąś bezinteresowną głupotą.

Jeżeli to, co wydarzyło się w jednej osadzie, położonej gdzieś między Biłgorajem i Sieniawą, ma na obszarze województwa i kraju wiele sobie podobnych — to warstwa anegdotyczna tarnogrodzkiej sprawy może być podstawą do bardziej ogólnych refleksji.

Konto zasług zawodowych to coś takiego, co pracownik gromadzi, wzbogaca przez wiele lat i co powinno mu dać poczucie bezpieczeństwa na czas zmniejszonej aktywności zawodowej. Brak poczucia bezpieczeństwa i świadomość zagrożenia bywa skutkiem nieodpowiedzialnego banku, konta bez gwarancji.

Zerwanie umowy o pracę z inicjatywy zagrożonego pracownika jest reakcją obronną w sensie ambicjonalnym, jest aktem desperackim. Decyzji takiej z reguły towarzyszy poczucie doznanej krzywdy i niesprawiedliwości. Ograniczona odpowiedzialność banku zasług, a często zupełny brak gwarancji, świadczy o chorej pamięci instytucji, o szkodliwych społecznie, a niepojętych intencjach obniżania zawodowych morale pracownika.

Pewne, z pozoru oczywiste, prawdy upowszechniane w zgrabnych i krótkich hasłach często służą złej sprawie. Hasło: „nie ma ludzi niezastąpionych" w wielu sytuacjach jest ewidentnym nieporozumieniem. Po odejściu instruktorek, tarnogrodzki GOK przestał być wzorem dobrej pracy dla innych tego typu placówek i może już nigdy nim nie będzie. Okazało się jeszcze raz, że powodzenie takiej instytucji jak GOK zależy od konkretnego człowieka, jego niepowtarzalnej osobowości, nie zaś od anonimowej „kadry" o sformalizowanych wymiarach kwalifikacyjnych, którą można dowolnie manipulować.

W sytuacji, w której przyczyną kryzysu instytucji jest obojętny lub lekceważący stosunek do człowieka, do jego potrzeb i wartości zawodowych, często zaczynają być ważne sprawy nieważne i wartości wtórne. Chyba dla odwrócenia uwagi od spraw trudnych, ale istotnych. Wszczyna się spory — począwszy od centrali aż do GOK-u — o adekwatność nazw placówek do ich pozornych funkcji. Zmienia się nazwy działów, stanowisk i tytułów zawodowych. Kreśli się nowe struktury, dba się o wzniosłość fasadowych sformułowań statutowych. Tworzy się fikcje statystyczne stanu posiadania. Rośnie euforia zachwytu nad ilością. Wybrzydza się na białe plamy na mapie, jako synonim ubóstwa kulturowego. W sumie: wiele jałowych wysiłków i pozornych działań, ważnych dla funkcjonowania „struktury" rządzącej się własnymi prawami, dla „świętej biurokracji" o zamkniętym obiegu sił witalnych.

A sprawa satysfakcji z pracy w kulturze dla tych, którzy nie ulegli frustracji i mimo wszystko jeszcze pracują? Czy funkcjonująca arbitralność ocen, cenzurek wystawianych przez każdego, komu przyjdzie na to ochota, nie przyczyni się do dalszego spadku satysfakcji zawodowej i dezorientacji w tym, co dobre, a co złe?

I wreszcie, wracając do tarnogrodzkiego przykładu o owej przewadze konkretności gofra nad niewymiernymi efektami pracy w kulturze, czy oczywistość tej przewagi nie jest podejrzana? Czy nie wynika ona z przykrych doświadczeń, niesprawiedliwych i niekompetentnych ocen? Bo o co tu chodzi? Rzecz chyba w tym, by ocenianie przestało być zabawą dla niektórych osób.

Zdzisław Kłosowski

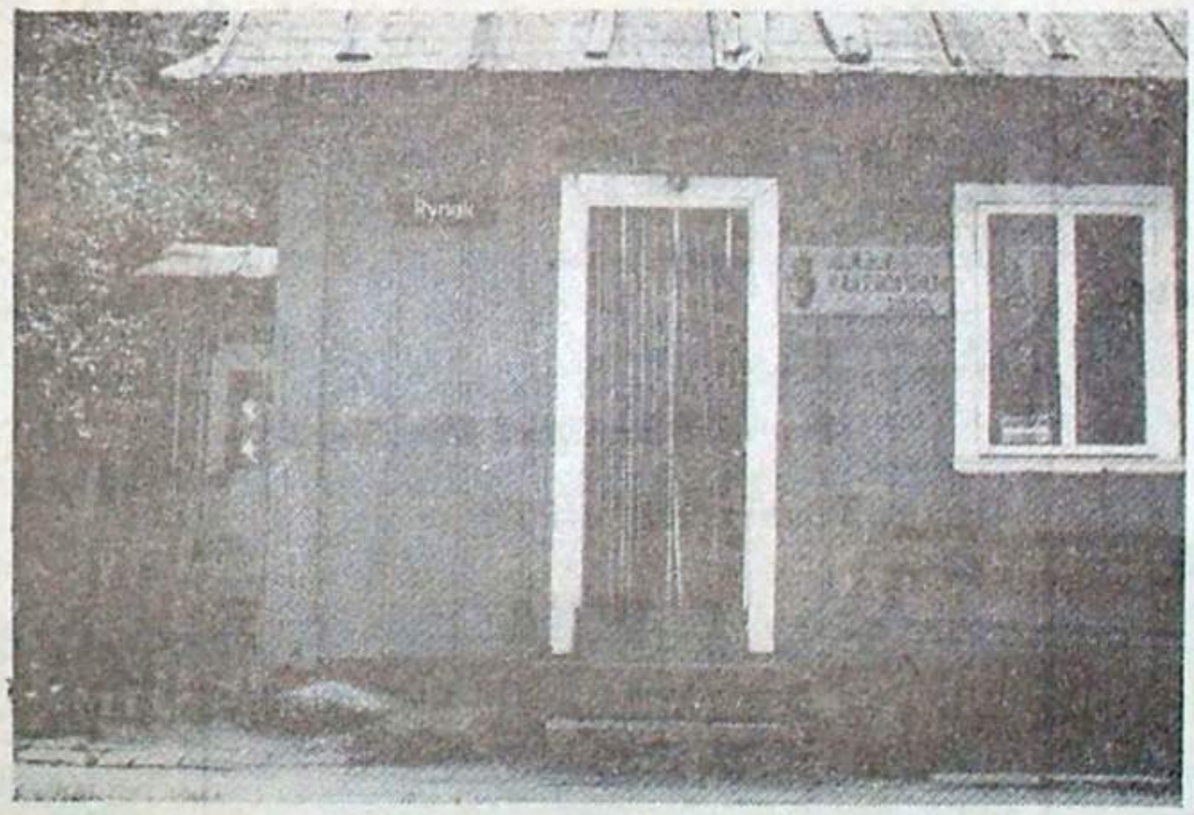

„Jest w Tarnogrodzie ... nieduży domek o urokliwej fasadzie"

Fot. Z. Jaśkiewicz

Wacław Oszajca

WSPOMNIENIE LATA

na łące

złoty trzmiel gorącym kłębuszkiem
zawisł nad czerwonym kwiatkiem
kosmatą łapą delikatnie rozchylił płatki
i utonął w pierwszej kropelce
cierpkiego jeszcze miodu

za oknem

czereśnia biała słodka pani młoda
i brązowy gorący wiatr
cały w niej
przestraszeni nagłym szczęściem
znieruchomieli na całą noc

w lesie

świerk smagły z kłującym wąsikiem
czeremcha drobniutka biała i wstydliwa
czarny bez w koronkowej komży
u źródła sprawują zaślubiny

w parku

kochana patrz
znowu zakwitła tarnina
białe łuseczki zakryły kolce
nie dotykaj gałązek
zranisz się
przyjdzie jesień
będzie czas na ból

zalotnik

wiatr siedząc na oklep
na słonecznym koniu przeskoczył las
zaskrzeczała za nim stara sosna
siwy dąb ciężko westchnął
białe brzozy zbitą gromadką
chichocząc wskoczyły w maliny
gniewnie zerkając spod zielonych powiek
wzdychają
ech
z takim by do ślubu

jubilaci

kochany to już pięćdziesiąta wiosna
a my dopiero rozkwitamy
zaskoczyła nas ta miłość
jak chłopak nagą dziewczynę
znowu słowa szeleszczą
niby wyłuskane strączki
palce i wargi odnajdują
ledwie muśnięte kształty
miły my pewnie jeszcze przed ślubem

POEZJA RUMUŃSKA

Ana Blandiana (1942–)

KIEDY DRZEWA MIAŁY OCZY

Kiedyś drzewa miały oczy,
Mogę przysiąc,
Wiem na pewno,
Widziałem to, gdy byłem drzewem.
Przypominam sobie jak mnie zadziwiały
Dziwne skrzydła ptaków
Przelatujących przed mymi oczyma.
Czy ptaki wyczuwały
Moje oczy
Tego nie pamiętam.
Teraz daremnie szukam oczu drzew.
Może ich nie widzę
Bo nie jestem drzewem?
Może zeszły korzeniami
Już pod ziemię?
Może,
Kto to wie,
Może tak wydawać mi się tylko mogło?
Niewidome są przecież drzewa od początku...
Ale dlaczego,
Kiedy przechodzę obok drzew,
Czuję, jak śledzą mnie swym wzrokiem
W znany sobie tylko sposób,
Czemuż, gdy szumią i mrugają
Milionami powiek
Zawołać pragnę —
Cóż widzicie?

Przełożyła **Janina Kazek**

Rys. E. Inglot

George Topîrceanu (1886–1937)

CZŁOWIEK I KACZKA

Żal człowieka, żal biedaczka,
Rankiem białym zdechła kaczka.
Smutne serce, myśli czarne,
Kaczka zdechła — losy marne.
Że nieszczęścia chodzą w parze,
Drugie z dwóch czekało zdarzeń,
W ślad za kaczką, peka głowa!
Zmarła chłopu i teściowa.

Niech więc nas nadzieja słodzi,
Za nieszczęściem — szczęście chodzi.

Przełożyła **Małgorzata Sota**

Lucian Blaga (1895–1961)

PRAGNĘ TAŃCZYĆ

O, pragnę tańczyć, jak nigdy nie tańczyłem!
Żeby się nie czuł Bóg
we mnie
jako niewolnik w więzieniu — zakuty.
Ziemio, daj mi skrzydła:
strzałą chcę być, rozcinać
nieskończoność,
bym nic już nie widział wokół oprócz nieba.
Niebo nade mną
i niebo pode mną —
rozogniony falami światła.
Tańczyć
wybuchać racami w niebiosa.
Wyzwolić w sobie Boga,
żeby już nigdy nie wyrzekał:
„Jestem niewolnikiem w więzach!"

Przełożyli **Ion Tiba i Józef Zięba**

Rys. E. Inglot

Nichita Stănescu (1933–)

PYTANIA

Żyjemy chwilą teraźniejszą?
Żyć, to znaczy czas?
Czas jest wszystkim niepojętym?
Czas jest tym, co poza nami?
Czas jest tam, gdzie nie ma rzeczy?
Czas jest bez istnienia?
Czas jest samym Bogiem?
Czas nierówno mija?
Czas ma szybkość?
Czas jest mową?
Czas istnieje w sobie —
Czy jest nieruchomym świadkiem?
Moje serce bije w czasie?
Dźwięki, wonie,
Dotyk, smak, spojrzenie,
Czy to są sposoby czasu?
Czy czas cechą jest historii?
Czy czas jest znamieniem rzeczy?
Może jest znamieniem słowa?
Myśl jest czasem?
Czas jest samym Bogiem?
Być, to znaczy czas?
Mieć, to znaczy czas?

Zegarki są naszymi świątyniami
Ręcznymi, kieszonkowymi,
Ściennymi...
Modlimy się widząc
Ich tykanie wpisywane w tarcze.

Kim jesteśmy?
Gdzie jesteśmy?
Dlaczego jesteśmy?

Przełożyli **Ion Tiba i Józef Zięba**

George Bacovia (1881–1957)

PLUCHA

Jesień z zimą
Znów się miesza;
i deszcz, i śnieg,
i śnieg, i deszcz.

I noc nadchodzi
Brudna, pusta;
Żółte, chore dzieci
Chodzą po ulicach.

Wilgotne są ściany,
Zimno mnie przenika —
Oswajam się z tymi,
Co się skryli w grobach.

Jesień z zimą
Znów się miesza;
I deszcz, i śnieg,
I śnieg, i deszcz.

Przełożyli **Ion Tiba i Józef Zięba**

Rys. E. Inglot

Marian Sorescu (1936–)

FRESK

Grzesznicy w piekle
Torturowani są niezmiernie.
Kobietom wyciągają z głowy tam
Pincetą
Klamry, agrafy, pierścienie, bransolety
I tkaniny, i bieliznę pościelową.
Wrzucają potem je
Do wrzących kotłów,
Żeby smoły pilnowały,
By nie spadła w ogień kropla.
Nieliczne tylko
Przemieniane są w menażki,
W których noszą czartom starym
Jeszcze ciepłe ludzkie grzechy.
Mężczyzn też tam zapędzają
Do najgorszych w świecie robót,
Tylko z bardzo oczłonionych
Robią przędzę
Na chodniki.

Przełożyli **Ion Tiba i Józef Zięba**

KAPRYS

Każdego wieczoru
Zbieram od sąsiadów
Wszystkie wolne krzesła
I czytam im wiersze.

Krzesła są podatne
Na poezję,
Jeśli odpowiednio je ustawisz.

Wtedy
Podniecam się
I przez kilka godzin
Opowiadam
Jak pięknie umierała moja dusza
W ciągu dnia.

Nasze spotkania
Zazwyczaj są skromne,
Bez uniesień
Zbytecznych.

Przełożyli **Ion Tiba i Józef Zięba**

Miron Radu Paraschivescu (1911–1971)

BRZOSKWINIE

Wczoraj wieczór w restauracji
zjadłem befsztyk krwisty z marchwią
i wypiłem wina czarę.

Naprzeciwko nas
na stole
stała taca

brzoskwiń pełna.
Ręką do niej nie sięgałem.
Głodny byłbym niepomiernie,

gdybyś ty nie była ze mną.

Przełożyli **Ion Tiba i Józef Zięba**

Zaharia Stancu (1902–1974)

NA BRZEGU

Tutaj jest morze. Tutaj jest piasek.
Byliśmy morzem i piaskiem byliśmy.
Cierpnienie zaczęło się w chwili,
Kiedy dano nam głos i wyraz.

Jak dobrze by było!... Jak dobrze by było
Spotkać cię przed tysiącem lat!
Jak dobrze by było! Jak dobrze by było
Spotkać cię przed stu tysiącami lat!

Wykrzesałbym piorun z niebios... Piorun z niebios...
Przed Prometejem, na długo przed Prometejem.
Przyniósłbym ci go do jaskini naszej
W dłoni, jak się nosi owoce dojrzałe.

Upolowałbym sarny z łuku,
Żubry oszczepem w grocie palonym.
Ptaki Raju chwytałbym na lasso,
W lasach Raju je łapałbym na lasso,
W lasach Raju, dla ciebie.

Ryby ze złota łapałbym dla ciebie
W tym morzu tak bardzo niebieskim,
Jabłko dojrzałe ofiarowałbym tobie.
A dla Lucypera — czerwoną czereśnię.

O! jak dobrze by było, jak dobrze,
Znać cię na świata początku!
Stoję samotnie na brzegu, tak bardzo sam!
Patrzę w toczące się fale pieniste.
Znaki twe odczytuję na piasku.
Wiatr je starł. Woda je zatarła.

Tutaj jest morze. Tutaj jest piasek.
Byłem morzem. Ty mnie nie widziałaś.
Byłem piaskiem. Też mnie nie widziałaś.
Byliśmy morzem. Będziemy nim jeszcze...
Byliśmy piaskiem. Będziemy nim jeszcze...
Właśnie piaskiem będziemy... będziemy...

Przełożył **Eugeniusz Krawczuk**

Kto nie zna Zielińskiego?

Aleksander Rozenfeld

PRZYZNAM, że do Kozienic ściągnęła mnie chęć poznania inżyniera Józefa Zielińskiego, dyrektora budowy elektrowni Kozienice, bo chyba dotąd żadnego dyrektora tak często w telewizji nie oglądałem. Nazywają go w Kozienicach z przekąsem „aktor", ale wyczuwa się w tym przezwaniu i odrobinę dumy i przede wszystkim niebywałą serdeczność. Nie ulega wątpliwości, że dyrektor Zieliński jest człowiekiem powszechnie lubianym, choć byłem świadkiem, iż do „łatwych" dyrektorów nie należy: trochę współpracownikom współczułem „ochrzanu" który niechcący dotarł do moich uszu. Ma przy tym Zieliński ogromną łatwość kontaktu z ludźmi, w ciągu kilku godzin widziałem u niego w gabinecie: wiceministra, dyrektora szkoły, kilku robotników ze sprawami rodzinnymi, sekretarkę wnoszącą obiad, delegację uczennic liceum z prośbą o autokar na wycieczkę. Starczy.

Notuję opowieści szefa: ma poczucie humoru i łatwość tworzenia anegdoty. „Przyjeżdżam raz w tygodniu do domu, w Warszawie, żona, jak to żona, zagląda do kieszeni spodni, czy pieniędzy nie ma, a tu traf chciał, wziąłem swojemu kierowcy pensję, nie miał czasu po nią przyjechać. No i wyciągnęła mi ślubna cichcem z tylnej kieszeni spodni 500 zł. Wracam rano do Kozienic, a do spodni nie zaglądam, pieniędzy nie liczyłem, i daję zwitek banknotów kierowcy — masz pracie. Po godzinie zagląda kierowca, widzę, że jakiś zmieszany taki, mówi: „Panie dyrektorze, brakuje 500 złotych" Wyjmuję więc banknot i daję. Ale myślę, co jest, chłopak uczciwy, jeździ ze mną parę lat, przy kasie, jak odbierałem jego pensję, przeliczyłem. Proszę sekretarkę, aby połączyła mnie z żoną. „Słuchaj, wyjmowałaś mi z kieszeni jakieś pieniądze?!" Żona czuję po drugiej stronie wije się, więc mówię: „To nie moje, to była pensja kierowcy". Wołam chłopaka: „W porządku, to żona mi wyjęła, ale na drugi raz licz przy odbiorze, a nie przychodź po godzinie." Widzę, chłopak się skręca ze śmiechu i mówi: „O, cholera, wszystkie baby takie same..."

Tradycją już się stało, że po każdym ważniejszym węźle budowy dyrektor spotyka się z brygadą szczególnie wyróżniającą się w pracy i pomysłowości przy tak trudnym i nietypowym obiekcie, jakim jest budowa pierwszego w kraju bloku o mocy 500 megawatów. Brygadzista Kowalczyk słyszy z ust dyrektora błogosławieństwo za pomysł wciągnięcia na wysokość 80 metrów walczaka kotła, ważącego bagatela 150 ton. „Tak jest, synku, profesorów trzeba słuchać, a robić należy po swojemu". Kowalczyk sam wymyślił sposób ciągu tego kolosa, pracownikom naukowym Politechniki Warszawskiej zajęłoby to kilka miesięcy. A czas nagli, każdy dzień straty jednego megawata, to milion złotych strat w gospodarce narodowej; ludziom pracującym w Kozienicach tego tłumaczyć nie trzeba, wiedzą sami.

Na tym samym spotkaniu z robotnikami słyszę, jak dyrektor Zieliński mówi: „Pan Bóg daje trochę nadziei, że nie ściśnie nas mrozem, to może nadrobimy stracony czas". A czasu niewiele, są opóźnienia spowodowane ważniejszymi inwestycjami w kraju, konieczcnością przerzutu ludzi i sprzętu, nieterminowością dostaw urządzeń. Tak zwane trudności obiektywne. Zieliński dodaje: „O niczym innym nie marzę, jak o tym, że te przeklęte dwa słowa zostaną kiedyś wymazane ze słownika języka polskiego".

Ten sam brygadzista Kowalczyk stanął przed trudnym zadaniem wyważenia konstrukcji rotoru turbiny na cementowym postumencie. Normalnie czynność ta angażowała kilkunastu ludzi, a sam Kowalczyk wytoczył śruby, osadził na nich rotor i wyważył. Holenderski licencjodawca przyszedł, pokręcił głową, poszedł do kasy zakładu, wypłacił 3000 dolarów za pomysł i śruby zawiózł do swojej ojczyzny. Truizmem stało się powtarzanie haseł o pomysłowości polskiego robotnika czy inżyniera, ale ta historia w pełni mnie przekonała, że hasło to nie jest tylko na użytek prasowych wywiadów.

Krajowi potrzebny jest przyrost 2000 megawatów rocznie do r. 1985, to tyle, ile produkuje w chwili obecnej „tylko" jeden Turów. „Zagrożony w terminach" jest nie tylko dyrektor Zieliński w Kozienicach. Jakkolwiek by było, nadto obarczono go jeszcze dokończeniem Rybnika, będącego w podobnej sytuacji. „Co mam robić, przedtem to jeszcze do domu wskakiwałem raz na dwa tygodnie, a teraz: poniedziałek w Kozienicach, wtorek o piątej rano w samochód i do Rybnika, tam już narada o dziesiątej rano z podwykonawcami, środa też cały dzień na samej budowie. Wieczorem w środę z powrotem do Kozienic, czwartek, piątek na budowie u „siebie". Pracujemy pięć dnia w tygodniu, od siódmej rano do wpół do piątej, duża część załogi mieszka w hotelach, część dojeżdża; chcemy, by ludzie mieli też trochę domu". Podstawową dewizą dyrektora jest: troszcz się o robotnika bardziej, niż o swego zastępcę czy siebie samego, wtedy będą wyniki i wskaźniki. A troska to nietypowa, byłem świadkiem.

Idziemy przez plac budowy, a tu studzienkę kopią, w której ułożone zostaną połączenia podziemnych przewodów energetycznych. Dyrektor rzuca okiem i zaraz zdejmuje marynarkę, daje mi do potrzymania, zagląda w głąb wykopu: „Synku, a wyjdzie no" Robotnicy ociągając się, wychodzą. Zieliński jakby miał lat dwadzieścia — a nie prawie sześćdziesiąt — wskakuje zwinnie do dołu, muruje sprawnie kilkanaście cegieł, wychodzi i mówi: „Tak to trzeba robić". Nie opieprza, nie grozi potrąceniem premii — uczy. „Robotnik musi wiedzieć, że to, co robi, jest ważne, że czemuś służy, że pozornie jakaś błahostka jest częścią wielkiego przedsięwzięcia".

I dalej już moje notatki ze wspomnianego spotkania z brygadą Kowalczyka: „Nie wolno nam popadać w panikę, panika nie rozwiązuje sprawy, tylko spokój i świadomość, że każdy dzień posuwa nas do przodu". I jeszcze „Jak człowiek wie, że mu coś zagraża, to opracowuje sobie plan obrony, nie wolno czuć się zaskoczonym, ani dać się zaskoczyć".

A oto notatka z posiedzenia KSR, gdzie doszło do ostrej konfrontacji pomiędzy bardziej zachowawczą w poczynaniach organizacją związkową, a bezkompromisowym w walce o pracownika dyrektorem Zielińskim: „Tak jest, każda brygada, każdy robotnik, który umie pracować, musi być za swoją pracę, ciężką pracę, wynagrodzony". Anegdotą już jest, jak Zieliński całą premię dyrekcji rozdzielił pomiędzy brygadzistów i robotników.

Dyrektor w przerwie między jednym telefonem a drugim: „Nigdy nie ma takiej sytuacji, że jakaś sprawa jest załatwiona idealnie, zawsze można do tej sprawy wrócić".

Sekretarka do Ministra Budownictwa: „Zima? Jaka zima?! Dyrektor wydał zarządzenie, że zimy nie będzie".

Pytam dyrektora, czy nie ma kłopotów ze zwierzchnikiem, a Zieliński śmiejąc się mówi: „Trzeba mieć twardą dupę, jak ma się miękkie serce".

I jeszcze znalezione na marginesie notatek powiedzenie dyrektora: „Tak, prawda, sprzedajemy za dolary energię, ale czasami trzeba samemu chodzić boso, a buty oddać".

Koniec żartu, prawda jest nieubłagana, we wrześniu 1978 roku pierwsza „pięćsetka" ma zostać włączona do krajowej sieci energetycznej, co stanowić będzie 30 proc. planowanego przyrostu mocy. W roku 1981 ruszyć ma Bełchatów, w tym samym czasie pierwsze megawaty da Połaniec. „Nie mogę tylko zrozumieć — mówi dyrektor Zieliński — dlaczego tu u nas wciąż front, jakgdyby pierwsza linia. Nie można normalnie od siódmej do trzeciej, a potem dom, żona?! A tak mówią do mnie: „Nie patrz na te hale, na żonę też trzeba popatrzeć".

Cieszę się, że poznałem dyrektora, ale czy go poznałem naprawdę, nie wiem, mówią o nim przecież w Kozienicach — „aktor".

WIEJSKIE ZEBRANIE W OBIEKTYWIE WALDEMARA STĘPNIA

Nie nękać samemu załatwiać...

— Dowiedziałem się, że ma pan dobrą markę u zwierzchności wojewódzkiej. Czemu to przypisać? — pytam Józefa Misiejuka, naczelnika gminy Terespol w województwie bialskopodlaskim.

Naczelnik, potężny, zwalisty mężczyzna przed czterdziestką, odpowiada z humorem, który go nie opuszcza:

— Nie należy władzy wojewódzkiej nękać, nachodzić i przeszkadzać swoimi problemami, które trzeba rozwiązywać przede wszystkim we własnym zakresie. Zadania w rolnictwie gmina wykonuje regularnie i z tego jestem głównie rozliczany.

— Wiem, że pochodzi pan z Terespola i właściwie całe życie mieszka pan w Terespolu; ojciec pański był tutaj burmistrzem.

— To wszystko się mniej więcej zgadza. Ojciec był burmistrzem w latach powojennych. Ja opuściłem Terespol na czas studiów prawniczych w Lublinie, które zresztą przerwałem na IV roku. Założyłem rodzinę, stanąłem do pracy w małaszewickim składzie CPN jako starszy magazynier. Potem pracowałem w Białej Podlaskiej, Międzyrzecu. Cały czas w CPN.

— A potem został pan naczelnikiem. Bodaj w 1973 roku?

— Od początku zakładałem, że tutaj wrócę. Ale równocześnie z objęciem stanowiska naczelnika wznowiłem studia i uzyskałem tytuł magistra, zaś w roku 1977 skończyłem aplikację arbitrażową w Lublinie, żeby sobie zabezpieczyć tyły i mogę w każdej chwili stanąć do pracy jako radca prawny.

— Czy to znaczy, że jest pan już zmęczony naczelnikowaniem?

— Nie, wręcz odwrotnie. Ale z kolei nie uważam, aby człowiek musiał całe życie siedzieć w administracji. Ponadto gdzie indziej nie potrafiłbym być naczelnikiem, tutaj pracuję dla swojego miasta, swojej gminy, i wiem o tym.

— Rządzi pan i żyje w miejscowości, gdzie ludzie znają pana jeszcze jako chłopca, młodego człowieka. Czy to nie stwarza niewygodnych dla pana sytuacji służbowych, ograniczających swobodę decyzji? Co poniektórzy mogą żywić przeświadczenie w rodzaju: „Józek swój chłop, nasz rodak miejscowy, on nam to załatwi"!

— Trudno mi odpowiadać za to, co sobie ktoś myśli. Orientuję się, że ludzie tutejsi zaakceptowali mnie jako naczelnika, choć wiedzą, iż bardzo ściśle przestrzegam rozdziału spraw służbowych i prywatnych. Być może, mam już nawet wrogów z tego tytułu, rzecz raczej normalna. W każdym razie nikt nie powie, że zostałem przyniesiony do Terespola w teczce. Myślę, że najlepiej jest wtedy, gdy część kadry pochodzi z zewnątrz, a część stąd, i tak właśnie wygląda sytuacja w naszym urzędzie miejsko-gminnym.

— Gmina i miasto Terespol wydają się mieć szanse w turystyce. Macie przejście graniczne, przez które pójdzie główny ruch samochodowy na olimpiadę w Moskwie...

— Muszę panu przerwać, bo olimpiada jest raz na cztery lata. W sezonie letnim idzie tędy jedynie tranzyt turystyczny. Niemal cały rok trwa międzynarodowy transport samochodowy towarów. To wszystko nie jest wielka turystyka i nasza gmina nie została przewidziana do jakichś generalnych inwestycji turystycznych, choć i tu są pewne zamierzenia, ale jest przeznaczona do intensywnego rozwoju rolnictwa.

— W takim przypadku zostawmy na razie w spokoju turystykę. Co limituje rolnictwo gminy, bo widzę, że bez problematyki rolnej nie obejdziemy się w tej rozmowie?

— Jak w wielu rejonach kraju, borykamy się z rozdrobnieniem gospodarstw i małą ich powierzchnią. Przeciętne gospodarstwo posiada około 4 hektarów, czyli niewielkie. Są przypadki, że siedmiohektarowe gospodarstwo liczy ponad 50 kawałków! Ponad połowa rolników nie ma następców. W 1978 roku przystępujemy do wymiany i scalenia gruntów, zarówno będących w posiadaniu indywidualnych rolników, jak i Państwowego Funduszu Ziemi. Tym sposobem na przykład dla PGR w Koroszczynie, zresztą bardzo dobrze pracującego, wygospodarujemy w najbliższym czasie około 200 hektarów scalonej ziemi. Pod powstające w Kobylanach i Lebiedziewie gospodarstwo owczarskie koroszczyńskiego PGR musimy ogółem zabezpieczyć ponad 1000 hektarów, część już przekazaliśmy.

— Są to zadania, które muszą rodzić wśród rolników indywidualnych pewne obawy, kwasy nawet. Myślę o procesie wymiany i scalania, przekazywaniu państwu gospodarstw podupadłych...

— Najbardziej hałasują ci najgorsi: „Ja będę swoje orał"! Przyjmujemy zasadę przekonywania, perswadowania, dyskusji. Najczęściej zdaje to egzamin, choć czasem trzeba i na huk. Po prostu ludzie nie zawsze wiedzą, co dla nich dobre. Najlepiej jednakże przekonuje dobry przykład. Są i techniczne problemy, choćby brak geodetów.

— Porozmawiajmy o samym Terespolu. Jest miastem...

— Prawa miejskie uzyskał w końcu XVI wieku. W 1977 roku wróciliśmy do starego, historycznego herbu.

— Jest miastem znanym z ogórków, które miejscowe Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego przetwarzają nawet na eksport, choć słyszę, że się to nie opłaca zbytnio, w co trudno uwierzyć.

— Gdy w Polsce mówią: Terespol, myślą o ogórkach. Ja bym powiedział inaczej. Jest to miasto w dużym stopniu kolejarskie ze względu na stację graniczną Terespol i suchy port przeładunkowy w Małaszewiczach. Właściwie większość mężczyzn pracuje na kolei tak czy owak.

— I miasto się rozrasta dzięki kolei?

— W pewnym sensie tak.

— Tylko w pewnym?

— Różnie bywa. Na przykład PGR Koroszczyn ma budować w Terespolu osiedle dla 400 mieszkańców. Więc i rolnictwo wielkoprodukcyjne może być miastotwórcze. Mamy w Terespolu osiedle bialskopodlaskiej spółdzielni „Zgoda", mamy osiedle PKP. Okazało się jednak, iż kolejarze chcieliby mieć w Małaszewiczach drugie miasto. Tymczasem stoi tam osiedle dla 1200 osób, ale ani to osada, ani wieś: skupisko domów i bloków położone na okrawkach gruntu trzech miejscowości: Małaszewicz Dużych, Małaszewicz Małych i Podolanki. Jak się referent pomyli przy wpisie do dowodu, może się okazać, iż mąż mieszka w Podolance, a żona w Małaszewiczach, choć mieszkają w jednym pomieszczeniu! Trzeba te sprawy uporządkować, dziwne by było i nieracjonalne, gdyby parę kilometrów od Terespola wyrosło drugie miasto. Trochę to nie po gospodarsku.

— Uporządkowaliście tę sprawę?

— Sam nie dałem rady, bo kolej jest zbyt silnym partnerem. Tym razem musiałem prosić o pomoc instancję wojewódzką, choć to nie w moim stylu. Ostatecznie stanęło na tym, że w Małaszewiczach zbuduje się jeszcze jeden blok i wydzieli się teren pod budownictwo jednorodzinne. Reszta budowy przejdzie na Terespol, Międzyrzec i Białą Podlaską. Jedynym argumentem dla rozbudowy osiedla PKP w Małaszewiczach było, że kolejarze nie potrafią żyć bez stuku wahadła i teraz już przestanę słyszeć ten argument.

— W ciągu tych pięciu lat, kiedy pan jest naczelnikiem, czego dokonaliście w samym Terespolu?

— Rozwinęły się oba osiedla: „Zgody" i PKP. Powstał duży pawilon gastronomiczny GS (szkoda, że nie posłuchano mnie się wtedy i nie zbudowano nad pawilonem hotelu, teraz żałują). Stanął dom handlowy z prawdziwego zdarzenia, zmodernizowany USC, bo o obyczaje świeckie trzeba dbać... GOK jakiś się zrobiło, skromny.

— Są problemy, jak mi wiadomo.

— Głównie z usługami. Nie ma szewca, stolarza, tylko jeden zegarmistrz. Ponadto — osadnik ścieków przeciążony i w ogóle z uzbrojeniem miasta zaczyna być krucho.

— Co pan sobie cenił najbardziej z dokonań?

— Zacznijmy od tego, że młodzież w Terespolu nie bardzo miała co robić z czasem wolnym. Postawiliśmy na sport jako podstawowy czynnik wychowawczych. Zanim młodzież nauczymy rozumieć malarstwo i muzykę współczesną, wpierw łatwiej ją nauczyć gry w piłkę i mądrego kibicowania. Postawiliśmy na urządzenia sportowe, bo uważamy, iż takie są potrzeby terenu i jego specyfika. Mamy dwie sale sportowe w szkołach, boisko z kompletem urządzeń do gier, kort tenisowy... Dwa lata to robiliśmy.

— A turystyka?

— Jedno z drugim. Zaczynamy budowę kempingu w Kobylanach, powolutku rozkręcamy. W Neplach zamierzamy urządzić wieś wypoczynkową w naturalnym stylu, a jest o co walczyć, ponieważ ze względu na piękno tej okolicy ludzie nazywają ją szwajcarią nepelską.

Rozmawiał: **Maciej Podgórski**

Jaka tam znachorka!

Krzysztof Woch

WIEŚ, jak wiele innych. Pośrodku ciągnie się wąska postrzępiona droga. Z okien samochodu — rozstrzelone po obu stronach gospodarstwa chłopskie rażą zaniedbaniem. Wieś sprawia wrażenie jakby opuszczonej i niczyjej. Gdzieniegdzie tylko słychać ujadanie psa, a kilka świetlistych punktów daje znać, że mieszkają tu ludzie.

Zatrzymuję wóz nieopodal starej chałupy, do której przez wiele lat zjeżdżali z całej Polski ludzie, mając cichą nadzieję, że właśnie tu będą uzdrowieni. Gdy z początku września znajoma zaproponowała mi wycieczkę do odległej od Lublina o godzinę jazdy wsi Sitoż, gdzie mieszka Sabina M., nie przypuszczałem jeszcze, że spotkanie ze znachorką będzie na tyle ciekawe, iż powrócę tam potem jeszcze raz.

Krystyna S. nie jechała do Sitoża bynajmniej jako amatorka mocnych wrażeń. Po lipcowym wypadku w pracy, kiedy okazało się, że ręka oswobodzona z gipsu jest krzywa, a palce sztywne, była kompletnie załamana. Przeklinała dzień, w którym zepchnięta przez chuligana z hotelowych schodów złamała prawą rękę powyżej nadgarstka. Klęła wszystkich i na wszystko. Powtarzające się w nieskończoność wizyty u lekarzy i wędrówki po przychodniach doprowadziły ją do rozstroju nerwowego.

Gdy zawiodły wszystkie możliwości i zawisła groźba kalectwa, zaczęła wypytywać znajomych o znachorów, czy jak kto woli — kostoprawców. Kiedyś słyszała o nich, ale przyjmowała te opowieści tak, jak każdy normalny człowiek nie mający problemów ze zdrowiem. Dowiedziała się, że gdzieś tam zwykła wiejska kobieta składa i nastawia kości. Nie była zdecydowana, wahała się z decyzją, ale wreszcie postanowiła pojechać do Sitoża.

Po pierwszej wizycie, zgodnie z poleceniem Sabiny M., ręka „spoczywała" przez tydzień w sadle. Śmierdziało niesamowicie, ale nie było rady. Za cenę uzdrowienia ręki warto było pocierpieć. Całe szczęście, że nasza wspólna podróż odbywała się już po zdjęciu zalatującego opatrunku...

Mąż Krystyny S. przysłuchiwał się naszej rozmowie bez większego entuzjazmu. Pewnie dlatego, że słyszę, że się to nie opłaca zbytnio, w co trudno uwierzyć.

— Gdy w Polsce mówią: Terespol, myślą o ogórkach. Ja bym powiedział inaczej. Jest to miasto w dużym stopniu kolejarskie ze względu na stację graniczną Terespol i suchy port przeładunkowy w Małaszewiczach. Właściwie większość mężczyzn pracuje na kolei tak czy owak.

— I miasto się rozrasta dzięki kolei?

— W pewnym sensie tak.

— Tylko w pewnym?

— Różnie bywa. Na przykład PGR Koroszczyn ma budować w Terespolu osiedle dla 400 mieszkańców. Więc i rolnictwo wielkoprodukcyjne może być miastotwórcze. Mamy w Terespolu osiedle bialskopodlaskiej spółdzielni „Zgoda", mamy osiedle PKP. Okazało się jednak, iż kolejarze chcieliby mieć w Małaszewiczach drugie miasto. Tymczasem stoi tam osiedle dla 1200 osób, ale ani to osada, ani wieś: skupisko domów i bloków położone na okrawkach gruntu trzech miejscowości: Małaszewicz Dużych, Małaszewicz Małych i Podolanki. Jak się referent pomyli przy wpisie do dowodu, może się okazać, iż mąż mieszka w Podolance, a żona w Małaszewiczach, choć mieszkają w jednym pomieszczeniu! Trzeba te sprawy uporządkować, dziwne by było i nieracjonalne, gdyby parę kilometrów od Terespola wyrosło drugie miasto. Trochę to nie po gospodarsku.

— Uporządkowaliście tę sprawę?

— Sam nie dałem rady, bo kolej jest zbyt silnym partnerem. Tym razem musiałem prosić o pomoc instancję wojewódzką, choć to nie w moim stylu. Ostatecznie stanęło na tym, że w Małaszewiczach zbuduje się jeszcze jeden blok i wydzieli się teren pod budownictwo jednorodzinne. Reszta budowy przejdzie na Terespol, Międzyrzec i Białą Podlaską. Jedynym argumentem dla rozbudowy osiedla PKP w Małaszewiczach było, że kolejarze nie potrafią żyć bez stuku wahadła i teraz już przestanę słyszeć ten argument.

— W ciągu tych pięciu lat, kiedy pan jest naczelnikiem, czego dokonaliście w samym Terespolu?

— Rozwinęły się oba osiedla: „Zgody" i PKP. Powstał duży pawilon gastronomiczny GS (szkoda, że nie posłuchano mnie się wtedy i nie zbudowano nad pawilonem hotelu, teraz żałują). Stanął dom handlowy z prawdziwego zdarzenia, zmodernizowany USC, bo o obyczaje świeckie trzeba dbać... GOK jakiś się zrobiło, skromny.

— Są problemy, jak mi wiadomo.

— Głównie z usługami. Nie ma szewca, stolarza, tylko jeden zegarmistrz. Ponadto — osadnik ścieków przeciążony i w ogóle z uzbrojeniem miasta zaczyna być krucho.

— Co pan sobie cenił najbardziej z dokonań?

— Zacznijmy od tego, że młodzież w Terespolu nie bardzo miała co robić z czasem wolnym. Postawiliśmy na sport jako podstawowy czynnik wychowawczych. Zanim młodzież nauczymy rozumieć malarstwo i muzykę współczesną, wpierw łatwiej ją nauczyć gry w piłkę i mądrego kibicowania. Postawiliśmy na urządzenia sportowe, bo uważamy, iż takie są potrzeby terenu i jego specyfika. Mamy dwie sale sportowe w szkołach, boisko z kompletem urządzeń do gier, kort tenisowy... Dwa lata to robiliśmy.

— A turystyka?

— Jedno z drugim. Zaczynamy budowę kempingu w Kobylanach, powolutku rozkręcamy. W Neplach zamierzamy urządzić wieś wypoczynkową w naturalnym stylu, a jest o co walczyć, ponieważ ze względu na piękno tej okolicy ludzie nazywają ją szwajcarią nepelską.

Rozmawiał: **Maciej Podgórski**

Jaka tam znachorka!

Krzysztof Woch

WIEŚ, jak wiele innych. Pośrodku ciągnie się wąska postrzępiona droga. Z okien samochodu — rozstrzelone po obu stronach gospodarstwa chłopskie rażą zaniedbaniem. Wieś sprawia wrażenie jakby opuszczonej i niczyjej. Gdzieniegdzie tylko słychać ujadanie psa, a kilka świetlistych punktów daje znać, że mieszkają tu ludzie.

Zatrzymuję wóz nieopodal starej chałupy, do której przez wiele lat zjeżdżali z całej Polski ludzie, mając cichą nadzieję, że właśnie tu będą uzdrowieni. Gdy z początku września znajoma zaproponowała mi wycieczkę do odległej od Lublina o godzinę jazdy wsi Sitoż, gdzie mieszka Sabina M., nie przypuszczałem jeszcze, że spotkanie ze znachorką będzie na tyle ciekawe, iż powrócę tam potem jeszcze raz.

Krystyna S. nie jechała do Sitoża bynajmniej jako amatorka mocnych wrażeń. Po lipcowym wypadku w pracy, kiedy okazało się, że ręka oswobodzona z gipsu jest krzywa, a palce sztywne, była kompletnie załamana. Przeklinała dzień, w którym zepchnięta przez chuligana z hotelowych schodów złamała prawą rękę powyżej nadgarstka. Klęła wszystkich i na wszystko. Powtarzające się w nieskończoność wizyty u lekarzy i wędrówki po przychodniach doprowadziły ją do rozstroju nerwowego.

Gdy zawiodły wszystkie możliwości i zawisła groźba kalectwa, zaczęła wypytywać znajomych o znachorów, czy jak kto woli — kostoprawców. Kiedyś słyszała o nich, ale przyjmowała te opowieści tak, jak każdy normalny człowiek nie mający problemów ze zdrowiem. Dowiedziała się, że gdzieś tam zwykła wiejska kobieta składa i nastawia kości. Nie była zdecydowana, wahała się z decyzją, ale wreszcie postanowiła pojechać do Sitoża.

Po pierwszej wizycie, zgodnie z poleceniem Sabiny M., ręka „spoczywała" przez tydzień w sadle. Śmierdziało niesamowicie, ale nie było rady. Za cenę uzdrowienia ręki warto było pocierpieć. Całe szczęście, że nasza wspólna podróż odbywała się już po zdjęciu zalatującego opatrunku...

Mąż Krystyny S. przysłuchiwał się naszej rozmowie bez większego entuzjazmu. Pewnie dlatego, że jako kierowca dzień w dzień odwoził tą trasą pracowników fabryki. Dobrze się składało bo droga prowadziła tuż obok celu naszej podróży.

Przy monotonnym szumie silnika jelcza słuchałem relacji Krystyny S. z poprzednich dwóch wizyt u znachorki. Przyznała, że zupełnie inaczej wyobrażała sobie znachorkę. Bała się nawet, kiedy jechała do Sitoża pierwszy raz. W rzeczywistości Sabina M. okazała się sympatyczną, wiejską gospodynią. Ciekaw byłem, czy podobne wrażenie odniosę i ja.

Gdy wyszedł już ostatni z pracowników, skręciliśmy autobusem w wąską drogę. Po dotarciu do celu zorientowaliśmy się, że przyjechaliśmy za wcześnie. Jacyś ludzie z małym chłopcem nerwowo spacerowali obok autobusu. Zrobiło się zimno, więc poprosiliśmy ich do środka. Czekali podobnie jak my na Sabinę M. Mieszkają niedaleko, w miasteczku odległym o siedem kilometrów od Sitoża. Syn Jacek na początku wakacji doznał skomplikowanego złamania i zwichnięcia ręki. Sześć tygodni leżał w lubelskim szpitalu na wyciągu: przy okazji uszkodzono mu nerwy dwóch palców. W rezultacie długa kuracja zakończyła się fiaskiem, a prawa ręka chłopca zginała się tylko do połowy, natomiast dwa palce były sztywne.

Sabina M. nie bardzo lubi, gdy przyjeżdżają do niej pacjenci po szpitalnym leczeniu. Woli, jeśli ten ktoś zgłasza się tuż po wypadku. Tym razem obeszło się bez gadania, bowiem ojciec Jacka jest prezesem pobliskiego „geesu" i zna doskonale znachorkę. Prawdę mówiąc, matka Jacka żałowała, że dopiero teraz przywiozła syna do Sitoża. Jednak ten strach przed ciemną medycyną nie pozwalał nawet myśleć o wizycie u Sabiny M.

Stan, w jakim przywieziono chłopca, był opłakany. Wystarczyły dwie wizyty u Sabiny M., aby ręka

Kamena str. 8

Kazimierz Smolcuga

OPIS CZŁOWIEKA

Patrzcie jaki jestem Oto moje
ręce zakończone palcami
Między palcami nie ma błon i to odróżnia mnie od ptaków
gdybym miał upierzenie i błony na pewno
bym fruwał
Właściwie to jestem upierzony
ale tylko na głowie
patrzcie oto moja głowa
nie jest ona kwadratowa jest wręcz jak jajko
ale to nie głupie jajko To jajko myślące
Oto moje nogi są zwykłe i dlatego tak odległe od głowy
Gdybym zrzucił ubranie to zobaczylibyście coś pięknego
skórę napiętą jak bęben a lśniącą
jak tłuszcz
Zapewne byłibyście zgorszeni gdybym zrzucił skórę
bo za skórą chaos nieuporządkowany
przewody połączone z krwią
żyły połączone z pożywieniem
rzeczy wzniosłe i podłe
wreszcie rzeczy nijakie
mocz serce o którym tak długo pisali poeci
Gdybym poszedł dalej to zobaczylibyście coś statycznego
taką szkieletową konstrukcję
Przykro mi że nie możemy pójść dalej
po prostu dalej nie ma mnie
nie istnieję poza tą przestrzenią

* * *

Jestem człowiekiem pól i zwierząt Takim człowiekiem
Z lasu Przychodzi do mnie często wilk lis i głupia sarna
Nie jestem poetą ani pól ani lasów
Nie będę czytał ni z drzew ni z trawy
Trawa już nic nie powie Chcę pisać o człowieku
Takim jak ja lub gorszym
Chcę myśleć o ludziach Którzy myślą że świat jest tak prosty
Jak oni Którzy myślą że prawo wypisane jest w niebie
Chcę poznać ludzi z lasu i ludzi z odległego zamku
Musimy się oglądać Patrzeć i domyślać się wielu ciemnych rzeczy
Trzeba wyłuskać wiele spraw Rozwiązać wiele węzłów
A wtedy poemat poznania Rósł będzie z nami

DORABIAM SIĘ

Dorabiam się na każdej kropli wody
Bogacąc się na ziarnku piasku
Jestem mecenasem pewnej przestrzeni
Odkrywcą pewnej tajemnicy
Jestem właścicielem małego pieniążka
Mam w sobie kosmos Nikt nie zna mojej tajemnicy
nawet sam o niej nic nie wiem
Przypłynęli piraci i powiązali mi umysł na węzły i kokardki
Tajemnica węzłów i kokardek
spoczywa głęboko w morzu

WIERSZ

I znowu wiersz złowiony jak ryba
rzuca się niezrozumiałością i wrodzoną tępotą
Ogarnia mnie wielkie morze rzeczywistości
Jestem czując zimno
i skończoność
Jest śnieżny sad który kiedyś
malował Pisarro
Nie czuję żadnego wzruszenia
nie poczuwam się do nadziei
różowe piętno chmur mówi mi o mrozie

SZUKAŁEM CIEBIE

Szukałem ciebie na zachodzie
w słońcu zobaczyłem twoje lekkie
skrzydło
więc długo myślałem o Raju
i Aniołach
A twoje kalekie dziecko
włóczyło się za mną

Fot. I. H. Kowalewski

MOJA POEZJA

Moją poezję karmi ziemia
zjada ona piasek i kamienie jak kura
Chodzi nisko przy ziemi Garbi się
i ręce trzyma w kieszeni
Moja poezja nie widziała ciepłych krajów
Nie była za granicą
Nie kąpała się w morzu
Moja poezja nie może nic zrozumieć
ludzie gadają
— Co to za poezja
Na co ta poezja
Komu potrzebna ta poezja
Moja poezja nie rozumie bohaterstwa
Moja poezja jest bardzo niedobra i nie może nadziwić się światu
Moja poezja niczego nie uznaje tylko przed siebie patrzy
Dużo czyta i długo ogląda ziarnko piasku

---

ka Jacka spełniała większość właściwych jej funkcji.

O zmroku, po dwóch godzinach oczekiwania, obok samochodu przeszła kobieta, wokół której urosła już legenda. Było coś przejmującego w ciszy, która zapanowała w autobusie, gdy ktoś powiedział, że to właśnie Sabina M. Mieszane uczucia towarzyszyły mi, gdy razem z innymi stanąłem przed drzwiami drewnianego, podniszczonego domu.

W niewielkiej kuchni na długiej ławie pod ścianą siedzieli pacjenci. Z uwagą przyglądałem się znachorce: twarz czerwona od zimnego wiatru, zwykły wiejski, roboczy ubiór nie pasował jakoś do stereotypu.

Ogrzewając i myjąc zmarznięte ręce, rozmawiała z ludźmi, którzy (co mnie zaskoczyło) odpowiadali na jej pytania tak, jakby przed nimi znajdował się co najmniej znany profesor. W ich głosie dało się wyczuć podniecenie: każdy z nich miał tu jakiś interes, każdy starał się być dla niej jak najmilszy, jak gdyby tym zachowaniem chciał sobie zapewnić względy i skuteczne leczenie. Wyczuwalna była ta wspólnota obcych sobie ludzi, których łączyła jedna sprawa.

W tej dziwnej wiejskiej poczekalni, a zarazem gabinecie, pacjenci rozumieją się bardziej, niż gdziekolwiek indziej. Nie ma tam przeszklonych szaf, białych fartuchów, ani sterylnej czystości. Wiejska kuchnia niczym nie przypomina miejsca, gdzie odbywa się leczenie.

Spośród siedzących na ławie pacjentów jeden zwracał na siebie szczególną uwagę. Był to stary dziadek z nogą spuchniętą jak bania. Wiedział, że za chwilę będzie musiał pocierpieć. Z drżących rąk wypadła mu na podłogę laska.

Sabina M. mrugnęła na mnie i znacząco skinęła głową, aby przytrzymać dziadka. Zdejmując bandaż z nogi, uspokajała go dowcipami, z których reszta czekających szczerze się zaśmiewała.

Tylko dziadkowi nie było do śmiechu. Nagle rozległ się suchy trzask kości, dziadek zapłakał. W chwilę potem, gdy ból przeszedł, podał coś zamkniętą dłonią Sabinie M.

„No już po wszystkim — powiedziała. Teraz macie leżeć w łóżku dziesięć dni. Jak was babcia będzie dobrze ogrzewała może być, że wydobrzejecie wcześniej".

Mamroczącego coś pod nosem wynieśliśmy do czekającej przed chałupą syrenki.

Następną pacjentką była kobieta z pękniętym obojczykiem. Sabina M. po krótkich oględzinach stwierdziła, że jest to stara sprawa. I rzeczywiście tak było. Genowefa S. uszkodziła obojczyk trzy miesiące wcześniej, spadając z drabiny. Kilkakrotnie powtarzane prześwietlenia oraz założenie gipsu nie dały pożądanego efektu. Pęknięta kość jak na złość nie chciała się zrosnąć i przy podniesieniu ręki dawała o sobie znać.

Sabina M. dokładnie obmacała pęknięty obojczyk a potem — w krótkich słowach — objaśniła, co trzeba robić dalej. I znowu zaleciła opatrunek z sadła.

Genowefa S. była wyraźnie zaskoczona postawioną przez znachorkę diagnozą. Nie przecież nie mówiła o sobie, a tu Sabina M. jakby czytała jej z oczu. Bez przeglądania zdjęcia rentgenowskiego potrafiła dokładnie wyczulonymi palcami wskazać pęknięcia. Gdy pacjentka wyjęła z torebki klisze, Sabina M. spoglądając nań skinęła głową w taki sposób, jakby już dawno wiedziała o co chodzi. Dziesięć dni po zdjęciu opatrunku z sadła Genowefa S. miała przyjechać po raz drugi do Sitoża.

Kolej wypadła teraz na moją znajomą, ale żeby zaoszczędzić małemu Jackowi widoku, postanowiono go przepuścić. Wszyscy z podziwem patrzyli, jak Sabina M. niczym doświadczony psycholog podejmuje dialog z chłopcem. Rozmowa ta, jak się później okazało, miała ściśle określony cel. Chodziło nie tylko o uspokojenie zdenerwowanego pacjenta, ale także wytworzenie atmosfery zaufania do znachorki do tego stopnia, by organizm Jacka nie wzbraniał się przed czekającym go bolesnym zabiegiem.

Zerknąłem ukradkiem na twarze ludzi wpatrzone w znachorkę i Jacka. Wydało mi się przez chwilę, że jestem w teatrze, na którego scenie odgrywa się ludzki dramat. Gdy ręka chłopca przylgnęła do stołu, zobaczyliśmy, ile brakuje jeszcze do pełnej sprawności.

Sabina M. przytrzymując dłoń chłopca kazała mu zrobić przysiad. Powoli, przeczuwając ból, spróbował wykonać to, o co go proszono. Kilka powtórzeń, a potem wspólnie podnosili wiadro wypełnione węglem. W pewnym momencie znachorka puściła uchwyt wiadra i cały ciężar przeniósł się na rękę Jacka, który zorientowawszy się o co chodzi, z zapałem ćwiczył podnoszenie węgla. Gdy się zasapał, Sabina M. chwyciła rękę chłopca i próbowała ją wyprostować bardziej, niż na początku. Odważny chłopak „wzięty pod ambicję" — jak powie później Sabina M. — zacisnął zęby z bólu i pozwolił zesztywniałej, nieposłusznej kości przesunąć się o kilka stopni. Poprawa była wprawdzie nieznaczna, ale za kilka tygodni ręka Jacka miała

Dokończenie na str. 10

Amatorzy i zawodowcy

Niedawno zakończyły się uroczystości związane z obchodami 70-lecia Towarzystwa Kultury Teatralnej. Przypomnijmy, że Towarzystwo działa jako kontynuator Związku Teatrów i Chórów Ludowych, który powstał 9 kwietnia 1907 r. Znane są powszechnie akcje TKT: „Wieś bliżej teatru", „Bliżej teatru", „Teatr 1977" upowszechniające kulturę teatralną (tutaj warto wspomnieć także o bardzo popularnym w Lublinie Studium Kultury Teatralnej), akcje organizowane przy współpracy WDK, Kuratorium, TWP, SPATiF-u. No, a poza tym Towarzystwo Kultury Teatralnej czuwa nad rozwojem amatorskiego ruchu teatralnego, tak bardzo interesującego i tak bardzo aktywnego w naszym kraju. Mamy obecnie w Polsce około 6 tysięcy zespołów amatorskich działających w większości w oparciu o fachową pomoc, chociaż wciąż jeszcze za mało jest instruktorów i to zresztą jedna z głównych bolączek amatorskiego ruchu teatralnego. Pogląd na zainteresowania repertuarowe, styl pracy i poziom lubelskich zespołów amatorskich można było sobie wyrobić w czasie oglądania przedstawień Wojewódzkiej Sceny Amatora w połowie grudnia, przebiegających pod hasłem: „Poezja i dramaturgia radziecka na scenie amatorskiej". Wojewódzka Scena Amatora była końcowym akcentem obchodów 70-lecia TKT.

— Obserwował pan przedstawienia Sceny jako konsultant artystyczny oraz jako przedstawiciel SPATiF-u. Jakie spostrzeżenia w związku z amatorskim ruchem teatralnym nasuwają się panu po obejrzeniu tylu i tak różnorodnych zespołów? Jakie wartości wyniósł pan z tej imprezy sam, jako aktor-profesjonalista? — pytam Henryka Sobiecharta, aktora, prezesa Zarządu Koła SPATiF przy Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie.

— W Wojewódzkiej Scenie Amatora wzięło udział 11 zespołów i to zespołów niesłychanie zróżnicowanych: od szkolnych teatrów amatorskich, przez zespoły wiejskie, aż po scenę działającą przy Spółdzielczym Domu Kultury w Lublinie, gdzie widzi się wielu ludzi w starszym wieku, rencistów. Taki na przykład pan Wojciechowski, reemigrant ze Stanów Zjednoczonych, liczy już sobie ponad osiemdziesiąt lat, a zdumiewa aktywnością i opanowaniem teatralnego rzemiosła. Była też grupa ludzi zupełnie młodych, ledwie stawiających pierwsze kroki na scenie, ale ich występy cechowały się niezwykłą świeżością spojrzenia. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że jako profesjonalista jestem trochę „skrzywiony" jeśli chodzi o zupełnie obiektywną ocenę tego, co jest może najbardziej istotne dla amatorskiego ruchu teatralnego. Dlatego też w czasie podsumowującej dyskusji z członkami zespołów podkreślałem, żeby nie brano sobie wszystkich moich „zawodowych" uwag zbytnio do serca. Ale chciałbym też podkreślić, że niektóre przedstawienia dały mnie, zawodowcowi, wiele materiału do przemyślenia już na własny użytek...

— Już z tego co pan mówi widać, że kilka zespołów wywarło na panu szczególne wrażenie. Odbiegały one w jakiś bardzo specyficzny sposób od przeciętności?

— Naturalnie. I każdy z nich odbiegał od przeciętności w sposób dla siebie szczególny. Na przykład zespół teatralny działający przy gminnym Ośrodku Kultury w Kurowie, prowadzony przez panią Polaską. Ci młodzi ludzie wystawili trzy jednoaktówki Muzy Pawłowej i Wiktora Ardowa pod wspólnym tytułem: „Kto ma rację — tryptyk", trzy humoreski współczesnych radzieckich pisarzy, mówiące o powszednich, zwykłych sprawach życia codziennego (np. o problemie biurokracji), zresztą nie tylko w ZSRR, ale w każdym kraju. Zespół z Kurowa zaskoczył mnie swoimi umiejętnościami warsztatowymi. Jego członkowie potrafią analizować tekst, „prowadzić" go na scenie w sposób niezwykle logiczny. Jeżeli jest to nawet jakieś tam „naśladownictwo" teatru zawodowego, to na zasadzie „zgłębienia" istoty tego teatru, swoistego teatralnego hobby i to mi się właśnie u nich podoba. Tym bardziej, że zespół reprezentuje warsztat na tak wysokim poziomie, że nie dostrzegam w nim irytujących profesjonalistę zgrzytów.

Zupełnie inny był zespół szkolny z Pszczelej Woli prowadzony przez miejscowego nauczyciela, Leona Karłowicza. Pokazał on spektakl „W stolicy i gdzie indziej" — także w znacznej części oparty na tekstach Muzy Pawłowej. (Tutaj dygresja: Wojewódzka Scena Amatora stała się swoistym festiwalem twórczości Muzy Pawłowej, cieszącej się ogromnym powodzeniem w zespołach amatorskich; aż cztery teatry wzięły na warsztat jej utwory). Przedstawienie zrobione prawie w konwencji kabaretowej, grane przez młodzież z ogromnym zacięciem, kazało mi przecież zwrócić przede wszystkim uwagę na osobę nauczyciela. Pan Leon Karłowicz posiada dwie zalety: zna doskonale „kuchnię" roboty reżyserskiej, a co więcej — widać, że potrafi wspaniale pracować z młodzieżą. Życzyłbym naszym szkołom jak najwięcej takich jak on pedagogów.

— A „negatywy" wśród prezentowanych zespołów?

— Wolałbym raczej mówić o jasnych stronach imprezy, którą oglądałem. Tym bardziej, że dla mnie wszystko, co wiąże się z zainteresowaniem teatrem i zamiłowaniem do sceny, zawiera w sobie pierwiastek pozytywny. No a poza tym, nie pokazywano nam przecież tutaj zespołów najsłabszych... Ale wracając do rzeczy: widziałem przedstawienie zupełnie „surowe" aktorsko, widać było, że wykonawcy nie tylko nie mają doświadczenia aktorskiego, scenicznego, ale chwilami nie bardzo rozumieją istotę mówionego tekstu. Ale znowu dostrzegało się u nich ogromną dbałość o dekoracje, kostium, rekwizyt. Oni mieli prawdziwą frajdę z „zewnętrzności" teatralnej, z samego faktu przebywania na scenie, z samej — z a b a w y w t e a t r. I jeżeli to nie jest tzw. zespół „twórczy", to przecież dla mnie, dla człowieka teatru, jest on niezwykle cenny: ci ludzie są s o j u s z n i k a m i teatru, sojusznikami mojego teatralnego zawodu, mojej pracy. I to się chyba w ruchu amatorskim, w ogólności, najbardziej liczy. A znowu co innego, że istnieją odkrywcze zespoły amatorskie, w pełni twórcze, nowatorskie, że wspomnę tylko ruch studencki...

— Myśli pan o tych zespołach, które szukają własnej drogi, nie inspirując się zbytnio ani okrzepłymi doświadczeniami teatru zawodowego, ani takimiż — teatru amatorskiego?

— Tak. Chociaż czasami przyjmuje to formy karykaturalne, jak na przykład fascynacja „awangardowością". Ale zupełnie świeże spojrzenie cechowało spektakl przygotowany przez młodzież z liceum ogólnokształcącego w Kraśniku, zatytułowany: „Obrazki dla teatru jarmarcznego" (znowu — teksty Muzy Pawłowej!), pomyślany jako przedstawienie jarmarczne, w którym satyryczne teksty literackie przetkane były wstawkami tanecznymi, a nawet artystyczno-gimnastycznymi. Wpisane to zostało w pomysłową, zabawną, lekką dekorację. Był to i teatr i wspólna zabawa, a wszystko razem składało się na ożywczą atmosferę płynącą ze sceny.

— Spektakl, który zrobił na panu, jako na aktorze, największe wrażenie?

— „Golgota — Audytorium", przygotowany przez Reginę Możdżeńską w Teatrze RENUM 76 działającym przy Lubelskim Domu Kultury. Oparto się tutaj na tekście stenogramu Igora Stawińskiego z jednego ze spotkań Włodzimierza Majakowskiego z publicznością, podczas którego poeta był ostro krytykowany przez niektórych czytelników. Przedstawienie jest prowadzone w sposób niezwykle dynamiczny, żywiołowy, racje oponentów krzyżują się z racjami Majakowskiego, recytującego w czasie tej gorącej dyskusji swoje wiersze... Uchwycono klimat tamtego wieczoru. Aktorzy-dyskutanci rozmieszczeni są między publicznością, osoba grająca Majakowskiego siedzi samotnie na scenie.

Dałem się bez reszty porwać temu spektaklowi chociaż miał on swoje słabsze strony. Może przede wszystkim sama postać Majakowskiego — rola tak trudna i tak skomplikowana — nie została dostatecznie udźwignięta przez zdolnego skądinąd aktora-amatora. I pomyślałem wtedy, że jeżeliby w roli Majakowskiego obsadzić dobrego aktora zawodowego, to — przy poziomie artystycznym Teatru RENUM — byłby to doskonały spektakl zawodowy. Albo też — doskonały spektakl „amatorski". A może po prostu — bardzo dobry spektakl teatralny! I zacząłem się zastanawiać, nad zrobieniem kiedyś takiego „wspólnego" spektaklu. Na styku teatru zawodowego i amatorskiego... A może — w takim właśnie miejscu, gdzie każdy teatr staje się Sztuką...

Rozmawiał **Mirosław Derecki**

Jaka tam znachorka!

Dokończenie ze str. 9

stać się sprawna jak dawniej. Znachorka zaleciła dużo ćwiczeń gimnastycznych oraz specjalne kąpiele.

Przyszła wreszcie kolej na Krystynę S. I tu okazała się potrzebna moja pomoc. Z odległości pół metra widziałem jak Sabina M. „prostuje" krzywą rękę. Nie mogłem przez chwilę uwierzyć, że pałąkowata kość nagle stała się prosta... „Jeszcze tylko opuchlizna zniekształca nadgarstek, ale to szybko przejdzie" — uspokoiła załzawioną z bólu i radości Krystynę S.

Miesiąc później, pod koniec października, odwiedziłem ponownie Sitoż. Powróciłem jeszcze raz do tego specyficznego, wiejskiego gabinetu, gdzie zamiast jasnego jupitera świeci u sufitu „sześćdziesiątka" upstrzona przez namolne muchy, gdzie nie ma białych fartuchów, ani kart zdrowia. Nie ma nawet listy tych, którzy tam byli a odjechali z uczuciem ulgi.

Chciałem porozmawiać z Sabiną M. o niej samej, o tej cichej sławie i uznaniu wielu ludzi, którym przywróciła radość życia. I nie ma w tych słowach nic z przesady. Bo co może czuć człowiek, któremu dwanaście lat temu chciano amputować rękę, a wizyta u ojca Sabiny M. spowodowała, że ów mężczyzna włada nią obecnie tak, jak zdrową?! Dziś pracuje fizycznie jako operator spychacza...

Moje odwiedziny wyraźnie zaskoczyły gospodynię. „Nie chcę rozgłosu — powiedziała — bo może to tylko zaszkodzić. Kiedy żył ojciec, napisali o nas, jako wzbogaconych na leczeniu. Parterowy murowany dom nazwali w i e l k i m... Widzi pan, są ludzie traktujący mnie jak jakąś wiedźmę oraz zło konieczne. Nie rozgraniczają znachorstwa na d w i e różne kategorie. Pierwszą stanowią tak zwani zamawiacze, których leczenie polega na wypowiadaniu zaklęć modlitewnych nie wiadomo do kogo i warzeniu nad ogniem płynów o nieokreślonej strukturze. Druga grupa — to ludzie, którzy faktycznie w sposób nieskomplikowany pomagają cierpiącym. I chyba mogę się zaliczyć do niej. Wprawdzie to, co robię, nie jest czymś nadzwyczajnym, ale mam ogromną satysfakcję, kiedy potrafię pomóc moim pacjentom".

Sabina M. jest kontynuatorką wiekowych niemal, rodzinnych tradycji. Rzecz prosta — najlepiej pamięta ojca, człowieka na pozór gburowatego i mrukliwego. Za powłoką tą kryły się inne cenne zalety.

Któregoś lata na podwórko zajechała furmanka wyłożona słomą, na której leżał chłopiec. Trudno powiedzieć, czy było to wypadnięcie dysku, czy też coś innego. W każdym razie chłopak leżał sztywny, a każdy ruch był dla niego cierpieniem. Franciszek W. wszedł na wóz prosząc o przytrzymanie chorego. Złożonymi pięściami uderzył kilka razy w plecy chłopca po czym kazał mu wstać i pobiec do stodoły i z powrotem. Osłupiały chłopak wstał i wykonał to, co mu kazano. Na środku podwórza klęczała zapłakana matka.

„No, co się tak gapisz — powiedział Franciszek W. — Nie widzisz, że matka płacze?! Idź, pocałuj ją i podziękuj, że cię tu przywiozła".

„Gdy ojciec umarł nie myślałam wcale, że w spadku pozostanie mi ... nastawianie kości. Co nie pomożesz — mówili ludzie — przecież umiesz. Kiedy pierwsze leczenia wypadły pomyślnie, poczułam sens i potrzebę niesienia ludziom pomocy, do której byli już przyzwyczajeni przez długie lata.

Mój pierwszy, mały pacjent prosił mnie niedawno... na wesele. Popłakałam się, gdy przyjechał i udowodnił, że pamięta o mnie, o tej zatyranej w polu babie, która kiedyś uzdrowiła mu nogę.

Niech pan mi wierzy, nie robię tego dla pieniędzy, jak niektórzy twierdzą. Zresztą zdarza się często, że ludzie nie płacą. Nie pytam dlaczego. I nie mam żalu do tych, którzy z jakichś tam względów nie dają pieniędzy. Są jednak ludzie zawistni, co to mówią, że za leczenie kupiliśmy z matką to czy tamto. Nie widzą, że człowiek haruje jak wół na 20-hektarowym gospodarstwie. Próbują szkalować, podawać do sądu. Raz nawet odbyła się rozprawa, po której musiałam zapłacić grzywnę. Zniechęca mnie postawa tych ludzi i chyba nie żałuję, że żadna z córek nie przejmie tej rodzinnej schedy. Myślę sobie czasem, żeby skończyć z tym leczeniem, ale gdy wracam do domu i widzę co wieczór oczekujących na mnie ludzi, mięknie mi serce i zapominam o wszystkich przykrościach".

Gdy spojrzałem w stronę kuchni, dostrzegłem siedzących na ławie ludzi, którzy jak ja słuchali opowieści o niezwykłej rodzinnej tradycji — odnajdując w niej momentami własne przeżycia.

Krzysztof Woch

Nazwiska bohaterów jak i nazwa miejscowości zostały — ze zrozumiałych względów — zmienione. Drukując ten tekst młodego współpracownika — a jest to jego debiut w „Kamenie" — chcemy dodać, że są nam znane — z zupełnie innych źródeł — nazwiska ludzi, którym „Sabina M." pomogła w cierpieniach. Nie przeceniamy tzw. medycyny ludowej, ale wydaje się, że lekceważyć jej też nie należy, zwłaszcza, iż w danym wypadku chodzi o wiedzę przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

(Red.)

ZOFIA JANOWICZOWA PRZYJEŻDŻA DO BATERII

Czesław Kuriata

TWARZ Julcia wykrzywiła się w jednej sekundzie, jakby nagle zobaczył on samego czorta rogatego. Takiej twarzy nikt u niego nie widział, nawet w najgorszym piekle wojennym, bo nigdy Julcio nie potrafił mieć poważnej miny, nawet w największym strachu. Kobieta patrzyła ze zdziwieniem na bladego jak marmur i znieruchomiałego jak kamień żołnierza, o którego wesołości tyle pisał jej Klimko. Julcio zaczął się rozglądać nieznacznie wkoło siebie, jakby szykował się do ucieczki albo wypatrywał gdzie się schować. Janowiczowa zrobiła krok w jego stronę, ale żołnierz dalej stał ani drgnąwszy jak słup wkopany w ziemię. Jego oczy powiększyły się tak bardzo, że już całkiem nie pasowały do maleńkiej twarzy. Zofię Janowiczową w jednej chwili naszły złe przeczucia.

— Zaprowadzi mnie pan do Klimka? — znowu poprosiła.

Julcio Markiela zawsze tak odważny we wszystkich wojennych i cywilnych sprawach teraz ze strachu nie mógł zrobić kroku.

— A może co złego spotkało mego? — drżącym głosem dopytywała się Janowiczowa.

Julcio mruknął zaprzeczająco, ale nic wyraźnie nie powiedział.

— Przecie ja miała od niego list, nie dalej jak tydzień temu — szybko pocieszała się, dusząc w sobie złe przeczucia.

— Nie, nie, to nie to... Klimko zdrowy jak koń... — jąkał się Julcio — Nic się jemu złego nie stało... Tyle, że...

— Że co...? — podchwyciła strapiona kobieta.

— A nic, nic... Tylko prawdę powiedziawszy, to po prawdzie nic... — mruknął bezradnie i ruszył w stronę pałacu.

Janowiczowa szła za nim i ledwo nadążała, choć była spora i zdrową kobietą, a on, w przeciwieństwie do niej, chuchro. Julcio szedł coraz szybciej, prawie już biegł, jakby za żadną cenę nie chciał, aby kobieta z nim się zrównała. W głowie Janowiczowej kotłowało się od czarnych myśli, które stawały się z każdym krokiem czarniejsze. Teraz i ona prawie biegła za żołnierzem bojąc się, że ten ucieknie. Na szczęście dobrnęli już do pałacu.

W izbie, do której weszli, bombardier Wendyk tłumaczył coś młodemu żołnierzowi. Janowiczowa zatrzymując się na środku pokoju pilnie przyglądała się nowym żołnierzom, jakby chcąc w którymś z nich poznać swego. Po chwili odwróciła straszliwie złe oczy na Julcia Markielę.

— Ta pani, to żona naszego Klimka — cicho wyjaśnił Julcio. — To właśnie jego łóżko! — wskazał ręką.

Janowiczowa milczała oczekując dalszych wyjaśnień. Zdaje się, że bombardier Wendyk dopiero teraz zrozumiał całą hadkość jaka z tego wszystkiego może być. Próbując patrzeć odważnie na kobietę, podrapał się po głowie, jakby nad czymś mocno zaczął rozmyślać. Patrzył z powagą i szykował się do mówienia. Julcio podbiegł do jednego z łóżek.

— O, tutaj są nawet... Plecak i brusek do jego kosy... — schylił się i wyciągnął spod łóżka worek. — To Klimkowe trofiejne, sukienki różnorakie... — powiedział nieśmiało podnosząc głowę.

— Gdzie jest Klimko?! — wykrzyknęła Janowiczowa nie panując nad nerwami. — Czy żywy i zdrowy? — w sekundzie zmiękła pochlipując.

— A jakże, najżywszy ze wszystkich stworzeń żyjących i zdrowszy od najzdrowszego żołnierza całej Pierwszej Armii — powiedział bombardier Wendyk uśmiechając się przymilnie.

— To ja jego chce zobaczyć — dziwnie spokojnie poprosiła kobieta. — A może on uciekł przede mną? Toż ja tak się o niego martwiła całą wojnę...

— E, co też pani mówi, jakby nie znała naszego Klimka... On nie uciekł, tylko nie mógł tutaj teraz akuratnie być. No, bo skąd mógł wiedzieć, że pani w ten czas przyjedzie — uspokajał kobietę Wendyk. — A zobaczyć teraz jego nie proste, bo wojsko, trzeba wiedzieć, ma swoje prawa... zająknął się.

— Może kapitan Arszenko pozwoli — zapiszczał Julcio za plecami Janowiczowej.

— Nie mieszaj ty w to kapitana! — zgromił go bombardier Wendyk.

— Ja chciałaby rozmawiać z kapitanem! — z nadzieją podchwyciła kobieta.

— No, to może, jeśli taka wola, to by Julcio zaprowadził... — przeciągając słowa mówił Wendyk, ale nie skończył, bo w tejże chwili skrzypnęły drzwi i nawet śladu nie zostało w izbie po Julciu Markiele.

— Ja chciałaby rozmawiać z kapitanem! — powtórzyła rozkazująco Janowiczowa.

Bombardier Wendyk, jak czort wściekły na Julcia, rad nie rad, poprowadził Janowiczową do kapitana Arszenki. Znowu przechodząc przez dziedziniec pałacowy zachodziła w głowę zbaraniała kobieta, co się takiego mogło stać z jej Klimkiem. Nikt nie chce nic mówić, wszyscy robią tylko jakieś dziwaczne miny. Znowu uspokajała siebie, że gdyby jej Klimkowi, nie daj Boże, przytrafiło się nieszczęście, całkiem inaczej zachowywaliby się żołnierze. Po drodze mijali kanonierów robiących przy wozach drabiniastych, przy żniwiarkach i koniach, wszyscy rozebrani do koszuli, bo dzień był parny i duszny. W różnorakich koszulach żołnierze wyglądali jak najzwyklejsi w świecie cywile. I to na moment odwróciło Janowiczową od trapiących myśli.

— Nigdy by ja nie pomyślała, że to wojsko — zdziwiła się głośno. — I armat tu nijakich nie widać.

— Bo my już po wojnie — odpowiedział Wendyk wcale nie zbity z pantałyku. — My teraz nie wojujem a gospodarzym.

W kancelarii sztabu pisarz wysłuchawszy Wendyka, posadził Janowiczową żonę w ogromnym fotelu, a sam poszedł zameldować kapitanowi Arszence. Zaraz też wszedł do dowódcy bombardier Wendyk i po pięciu minutach wyszedł stamtąd trzymając w ręku jakiś świstek.

— Pójdziemy do Klimka — powiedział dziwnie smętnym głosem.

Janowiczowa ruszyła za nim. Nie pytała o nic szczęśliwa, że nareszcie zobaczy swego. Jak prowadzą do Klimka, znaczy się, że on żyje. To było teraz dla niej najważniejsze.

Nie minęło i dziesięć minut, a byli już w pałacu, tyle, że z innej strony. Wendyk dał papierek żołnierzowi stojącemu w korytarzu, a ten ogromnym kluczem otworzył pierwsze z brzegu drzwi. Janowicz leżał na pryczy zbitej z desek i palił papierosa. Nie miał na sobie pasa, a buty bez sznurówek stały w kącie. Zofia Janowiczowa w mig zrozumiała w czym rzecz i widząc, że taka to przyczyna ich tajemniczości, oblaniła radośnie szyję swego Klimka. Całując ściskała go z całej swojej, jak na kobietę, niemałej siły. Śmiała się przy tym wnieboglosy, jak to tylko niewiasty z bezmyślności śmiać się umieją. Radość jej, to trzeba przyznać, była wielka, bo znowu miała swego męża, którego nie widziała prawie dwa lata, a który już nareszcie zakończył wojnę. Klemens Janowicz zdurniały nielicho, zrazu nie bronił się przed żoniną serdecznością, ale po chwili oprzytomniawszy ze zdziwienia, wyrwał się z jej obejmowań. Szukał rozwścieczonym wzrokiem Bronka Wendyka, który akurat już otwierał drzwi, bo był delikatny i nie chciał przyglądać się cudzej pieszczotliwości. Janowicz zdążył go jednak dopaść na korytarzu i potrząsnąć porządnie całą jego bombardierską osobą

— Kibieni matieri! — zaklął Janowicz. — Jak ty mógł zrobić taką hadkość! — zasyczał wściekle w jego twarz.

Bronek Wendyk wyrwał się z Klimkowych łap i pędem wybiegł z pałacu.

— Czekaj ty, parszywy!!! — wściekał się po swojemu Janowicz, odtrącając Zośkę, która z pochlipywaniem uwieszała się jego ramienia.

— Taką hadkość zrobił...! A ty po co wpuszczał? — nie mając już przed sobą Bronka, złość wyładował na wartowniku.

Wartownik wzruszył tylko ramionami i odwrócił się plecami.

— Ty mnie odpychasz, choć my się nie widzieli cały wiek... Może ty znalazł jaką Niemrę...! — miłośnie skarżyła się jego Zośka. — A ja głupia, tak się martwiła jak ty był na wojnie i teraz tyle drogi jechała, żeby ciebie nareszcie zobaczyć na własne oczy...

— Czy ty, Zośka, musiała akuratnie w taką porę przyjeżdżać — powiedział do niej z wielką żałością w głosie. — Ty nigdy Boga nie miała w sercu.

Takie właśnie, a nie inne, było pierwsze po wojnie spotkanie kanoniera Janowicza ze swoją Zośką, którą na froncie tyle razy z tęsknotą przywoływał do siebie. Tak go piekła hańba z powodu aresztu, że już nawet zapomniał o tej lichej gospodarce do spółki z inną kobietą przez Zośkę zajętej, choć przedtem planował zrugać ją za to po bożemu.

Wartownik przyniósł pas i sznurówki i Klemens Janowicz był wolny. On z niewoli wyzwalał kraj, jego samego wyzwoliła własna żona. Ponury wracał z aresztu, bo wściekał się, że kobiecie to zawdzięcza. Zawsze przedtem była jakaś pilna robota i wcześniej wypuszczali, tylko teraz jak na złość siedział prawie do samego końca. Areszt przecież kończył się już na drugi dzień rano. Ciągle nie mógł darować Wendykowi, że zrobił mu taką sromotę przyprowadzając Zośkę do aresztu. Wiadomo, jak to kobieta, będzie to wszystko całe życie rozpamiętywać i jego wstyd po wsi roznosić. Przez cały dzień łypał wściekłym wzrokiem na Bronka Wendyka.

— Żeby ja jutra nie doczekał, że ja nie chciał — zaklinał się winowajca. — To ona się zaparła, że do ciebie i do ciebie, i to zaraz...

— A niechajby i poczekała do rana, to był już ostatni dzień.

— Twoja już myślała, że z tobą co złego — rozpaczliwie bronił się Wendyk. — Czy mieli my ją straszyć...? Co było robić...

— Powiedzieć, że ja wyjechał i rano powrócę — przygważdżał go Janowicz.

Bronek Wendyk milczał, bo wiedział jaki jest Klimko i nie chciał go jeszcze bardziej rozsierdzić. Pomyślał tylko, jak on nie zna swojej własnej kobiety, jeżeli myśli, że oni mogli z nią jakoś inaczej poradzić.

Zofia Janowiczowa dwa dni była w baterii i wszyscy widzieli, że Janowicz spaceruje z nią markotny, choć tyle czasu jej nie widział. Dopiero przy pożegnaniu zobaczyli dobrze, uściskał ją zdrowo, jak przystało to zrobić ślubnemu.

Fragment powieści pt.: „Naprawdę już po wojnie", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Coś do smaku...

Z ROZKOSZĄ (i to po raz drugi) przeczytałem książkę Anterma Brillat-Savarin pt. „Fizjologia smaku albo Medytacje o gastronomii doskonałej" (Warszawa 1977, Państw. Inst. Wydawn., wyd. II), łykając przy tym nieraz ślinkę na wspomnienie wspaniałych potraw, o których tam mowa. Nie jest to jednak — jak ktoś mógłby sądzić — książka kucharska, choć nie brak tam świetnych przepisów, doskonałych opisów potraw i niemal naukowych uwag na temat jedzenia i pokarmów. Nie jest to też pamiętnik żarłoka. Dlatego ci, którzy mają nadzieję znaleźć w tym dziełku opisy gargantucznych uczt i pijatyk, doznają zawodu.

Brillat-Savarin — smakosz doskonały — wyznawał bowiem zasadę, że jeść dobrze, nie znaczy jeść dużo. Jedzenie (wraz z piciem) podniósł on — po długoletnich doświadczeniach i przemyśleniach — do rangi sztuki, w której nie każdy może osiągnąć bodaj pierwszy stopień wtajemniczenia.

Czytając, myślałem o Wacławie Gralewskim. Kto jak kto, ale właśnie on byłby najbardziej powołany do wyrokowania na temat „Fizjologii smaku". Bo też właśnie on posiadł rzadką sztukę pięknego pisania o jedzeniu. Przykładem mogą być fragmenty „Pięści Herostratesa" poświęcone biesiadom. A felietony gastronomiczne w „Kamenie" (te „z dreszczykiem"!)? Przecież i tam Gralewski dawał często popisowe koncerty na temat smakoszostwa. Ba, nawet jego wspomnienie o Leśmianie (w zbiorze wydanym przez Zdzisława Jastrzębskiego) to po prostu... opis obiadu w zamojskiej restauracji.

Tak. Zadumać się nad dobrze przyprawioną sałatą. Zachwycić się poezją zawijanych zrazów. Dobrać ze znawstwem kawałek sera cenionego gatunku. Wypić kieliszek zacnego wina, doceniając jego kolor, bukiet, temperaturę. Jeść dla przyjemności! Szkoda, że robimy to tak rzadko...

Mistrz Brillat-Savarin (a także Wacław Gralewski z Konradem Bielskim do wtóru) przyznałby z pewnością, że nie jest sprawą bagatelną, na czym się je i czym się przy jedzeniu posiłkuje. Dlatego warto przeczytać małą, pięknie ilustrowaną książeczkę Ryszarda Bobrowa pt. „Dawne sztućce" (Warszawa 1977, Kraj. Agencja Wydawn.).

Ileż to razy bierzemy do ręki łyżkę, nóż czy widelec, nie patrząc na nie nawet. Bo też i najczęściej nie ma na co patrzeć (choć trzeba przyznać, że ostatnio można w sklepach znaleźć estetyczne i oryginalne nowoczesne sztućce.) Inaczej bywało dawniej, kiedy biorąc do ręki łyżkę miało się nieraz do czynienia z małym arcydziełem sztuki złotniczej albo z dziełem sztuki ludowej, gdy było to w wiejskiej chacie.

Maleńka książeczka Ryszarda Bobrowa przynosi wiele wiadomości na ten zdawałoby się marginalny i nieważny temat. Pewnie, jeść można byle czym, tak jak można jeść byle co i byle jak. Ale czemu sprawom codziennym, zwyczajnym nie nadać nieco innych wymiarów? Czemuż by nie przyłożyć większej wagi do oprawy czynności koniecznych, które stałyby się przez to nie tylko obowiązkiem?

Autor cytuje niejedno dzieło na temat kultury dawnej Polski, ale też o niejednym zapomina. Można mu to wybaczyć (przecież to nie praca naukowa) z jednym wyjątkiem: nie wymienić Jędrzeja Kitowicza, nie zajrzeć do jego wiekopomnego dzieła — to naprawdę duże niedopatrzenie.

Mimo to książeczka naprawdę miła i ciekawa. Przeczytawszy, zajrzałem do małczynego kredensu. Nareszcie uświadomiłem sobie, że dziwaczne łyżeczki do czarnej kawy są przecież secesyjne. Z większym szacunkiem obejrzałem starą znajomą z dzieciństwa — łyżeczkę do cukru w kształcie muszli. Zrobiłem minę znawcy, biorąc do ręki prababcine łyżeczki do konfitur z fikuśnie powykręcanymi trzonkami. Wstyd powiedzieć: nareszcie dowiedziałem się, że nóż z osobliwym ostrzem służy po prostu do sera!

Błażej

WĘGIEL UCZY POKORY

Dokończenie ze str. 1

czątkiem października 1976 roku został rozstrzygnięty ogólnopolski konkurs na reportaż o Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Materiały z konkursu oraz inne publikacje o LZW przeznaczono do książki. Oddano do składania 9 października 1976 roku, druk „Górniczego przedwiośnia" ukończono w niespełna dwa miesiące. W naszych warunkach poligraficznych, kiedy ten proces trwa zwykle rok, jest to „błyskawica".

Więc była już książka i miała być Barbórka, a z nią pierwszy węgiel lubelski. Przedstawiciele władz państwowych, pióropusze górniczych galowych czapek, kubeł z węglem wyjeżdża do góry, na stosie czarnych brył spoczywa książka „Górnicze przedwiośnie". Tak miało być, ale węgiel widocznie nie lubi uroczystości...

•

Lipiec 1972. Za odkrycie i udokumentowanie złóż lubelskiego węgla otrzymują nagrodę państwową I stopnia: prof. dr Jan Samsonowicz (pośmiertnie) oraz zespół — mgr inż. Józef Porzycki, dr Karol Bojkowski, mgr Stefan Cebulak, dr inż. Zdzisław Dembowski, mgr inż. Zbigniew Grabowski, dr hab. inż. Aleksander Jachowicz, dr hab. Andrzej Różkowski.

Prace swoje rozpoczął prof. Samsonowicz jeszcze w latach dwudziestych, potem kontynuował je w Polsce Ludowej, kierując badaniami. Zespół prócz pokonania problematyki naukowo-badawczej musiał dodatkowo borykać się w pewnym okresie z trendami przeciwnymi węglowi. Pracowali bowiem nad węglem, gdy energetyką światową rządziła tania ropa naftowa, a w Polsce mówiło się o gaszeniu kominów kopalń.

Grudzień 1974. Podczas akademii z okazji Dnia Górnika Edward Gierek powiedział: „Rozpoczęliśmy przygotowania do budowy kopalń w bogatym Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Zapoczątkowanie eksploatacji jego zasobów to otwarcie nowego rozdziału w polskim górnictwie"...

2 stycznia 1975. „Express Wieczorny" donosił: „W najbliższym czasie na podmokłych terenach wokół wsi Łęczna rozpoczną się prace przygotowawcze do głębienia szybów pierwszej kopalni lubelskiego węgla". Tak rodzi się Historia, ale tak też powstają „kaczki". Bo Łęczna to miasteczko; i nie „wokół" Łęcznej, lecz pod wsią Bogdanka na gruntach puchaczowskich, zaś prace przygotowawcze zaczęły się jednak wcześniej.

11 lutego 1975. Przedsiębiorstwo Poszukiwań Naftowych z Jasła przystępuje do wiercenia otworów mrożeniowych na szybie nr 1. Na placu budowy działa już generalny wykonawca robót górniczych — PRG z Mysłowic.

15 maja 1975. Nad Bogdanką pojawia się latający dźwig — śmigłowiec nasielskiego „Instalu", pomagający przy budowie linii energetycznej, ciągniętej w trudnym, bagnistym terenie. Okoliczni chłopi wysoko zadzierają głowy, śledząc lot wielkiej ważki. Takich metod pracy jeszcze nie widzieli.

19 listopada 1975. Nasunięcie wieży wyciągowej na piwnicę mrożeniową szybu nr 1. Operacja trwa od 19.30 do 7.10 — wieżę o wysokości 39 metrów i wadze 240 ton przesunięto na odległość 25 metrów. Za dwa dni rozpocznie się robota przy głębieniu szybu nr 1, co jest równoznaczne z początkiem budowy kopalni, a zarazem całego LZW.

Lato 1976. Przy budowie szybu nr 1 padają kolejne rekordy krajowe i światowe w głębieniu szybów metodą mrożeniową. 120 metrów szybu w obudowie betonowej w ciągu 26 dni. 390 metrów szybu w ciągu kwartału. „Jedynka" ma już 440 metrów głębokości, do pierwszego węgla tylko 270 metrów. Sukces wydaje się tuż, tuż. Prasa i telewizja szaleją.

Zbieram materiał do reportażu na konkurs o LZW. Rozmawiam z nadsztygarem Aleksandrem Styczniem, który dał się poznać prasie jako przeciwnik mówienia o rekordach produkcyjnych, padających w Bogdance:

— Nie uważam, żeby to były rekordy. Pracujemy na szybach pilnych dla rozpoznania terenu, żeby można projektować następne kopalnie i rozpoczynać ich budowę. Mamy wszystko, co chcemy: materiały, sprzęt. Ja wierzę w koncentrację sprzętu, materiałów, robocizny, w nowoczesność technologii, wysoką organizację, dyscyplinę i fachowość ludzi, wysokie zarobki, bo pieniądze też są ważne, proszę pana. A potem zwyczajnie: trzeba tę skałę urobić, trzeba to wydobyć, trzeba zabetonować, czy jest to na Bogdance, „Piaście", „Wujku" i wielu, wielu innych szybach. Niemniej każdy szyb jest inny, nie ma podobnych szybów do siebie, nie ma podobnego przekroju geologicznego, nie ma podobnego dopływu wody, choć szyb pozostaje niby zawsze szybem. I jak tu porównywać, mówić o rekordach! A niespodzianki? Niespodzianki będą zawsze. Jeszcze wczoraj studiowałem dokładnie przekrój geologiczny, bo już się szykujemy na „jedynce" do przejścia największej kurzawki, na 530 metrze. Może poczekamy z miesiąc na zamrożenie grubszego płaszcza, może będziemy tę kurzawkę otwierać na raty, ale ja zaś panu powiem, że my ją przejdziemy, to jest do przejścia...

Rozmawiam z Lucjanem Stysiem, sołtysem wsi Bogdanka, który stanął do roboty przy głębieniu szybów, a zarazem prowadzi gospodarstwo:

— Ja dopiero zaczynam. No, po prostu jak dziecko, co zaczyna chodzić, ja zaczynam dopiero podnosić się, bo właściwie to co ja miałem. Ale czterdziestka to już jest młodość starości, powinno się już decyzję wziąć, tylko, jak mówi przysłowie, ciężko nosić, żal porzucić. Więc jeszcze czekam, taka cisza przed burzą, to jeszcze potrwa do pierwszego kubła węgla, do tej Barbórki. Może nie tylko ja czekam, może ktoś więcej czeka na to...

Tak, wszyscy czekali na Barbórkę 1976. Oczywiście, nie z założonymi rękami, choć niektórzy z pewną dozą ostrożności, jak nadsztygar Styczeń, doświadczony fachowiec. Tak czy owak jeszcze latem podjęto zobowiązanie — „Do dnia 4 grudnia 1976 roku zgłębić szyb I do głębokości 720 metrów, osiągając przez to pierwszy pokład węgla w kopalni pilotująco-wydobywczej w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Należy zaznaczyć, że odcinek szybu poniżej 500 metrów głębiony będzie w bardzo trudnych warunkach hydrogeologicznych i kurzawkowych z zastosowaniem specjalnej obudowy tubingowej".

Niestety, nie wszystko jest w stanie przewidzieć człowiek, choć w

OKO-LICE SZTU-KI

Optyka statystyka wyobraźnia...

WYJEŻDŻAŁEM tu i ówdzie, więc prawie dwa miesiące nie było w „Kamenie" rubryki „Okolice sztuki". Tymczasem właśnie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy minionego roku doszło w Lublinie do wyjątkowego zagęszczenia interesujących imprez artystycznych. Tak zatem w sali Biura Wystaw Artystycznych prezentowali swoje dokonania i sporó myślenia o sztuce dwaj znani twórcy: Jerzy Rosołowicz z Wrocławia i Ryszard Winiarski z Warszawy. Fakt, że wystąpili razem, nie był kwestią przypadku, ponieważ obaj reprezentują w swojej działalności postawę analityczną, badawczą, uwrażliwioną na niektóre problemy nauki współczesnej i techniki, które eksponują w sposób dość przewrotny, ujawniający ich irracjonalną „drugą twarz" i wyrywający scjentystyczne pewniki ze sfery precyzyjnych, matematycznych i fizycznych ustaleń.

Jerzy Rosołowicz, którego słusznie uznaje się za jednego z inicjatorów sztuki konceptualnej nie tylko w Polsce, rozwija swoją aktywność na dwóch wyraźnie zazębiających się płaszczyznach: teoretycznej oraz, nazwijmy to tak, praktycznej. Jego realizacje i projekty są bowiem konkretyzacją refleksji teoretycznej autora, po raz pierwszy ogłoszonej publicznie w 1963 roku na I sympozjum „Złotego Grona" w Zielonej Górze, a zatytułowanej „Teoria funkcji formy". Najogólniej rzecz biorąc, twórczość Rosołowicza jest swoistą zachętą odbiorcy do myślenia o świecie i o sztuce, angażującą również wyobraźnię. Pamiętam dobrze, jak żywe zainteresowanie i dyskusje wzbudził projekt „Kreatorium kolumny stalagnatowej", pokazany na sympozjum „Wrocław 70". Przedstawiał on piramidalną budowlę z cylindrycznym rdzeniem, mniej więcej w połowie (górnej) wypełnionym wodą i węglanem wapnia. Dzięki odpowiednim urządzeniom, skapująca mieszanina utworzyłaby w dolnej części cylindra kolumnę wapniową metrowej wysokości, formującą się w ciągu 1000 lat z szybkością 1 milimetra rocznie. Wśród realizacji Rosołowicza warto też przypomnieć „Neutrikony", czyli układy soczewek odwracających „do góry nogami" wizerunki ludzi czy przedmiotów znajdujących się poza nimi — akurat w tej chwili, w danym miejscu, zupełnie przypadkowo. Soczewki, jak wiadomo nawet dzieciom, stosuje się normalnie do polepszenia widzenia, tymczasem Rosołowicz wykorzystuje je do uzyskania obrazów odwróconych, niezgodnych z rzeczywistością. Artysta fotografuje je, otrzymując „Nieskończoną fotograficzną antydokumentację sfery wizualnej"... Przypomnę jeszcze, że dwa lata temu Rosołowicz wystawiał w chełmskiej „Galerii 72", pojawiając się osobiście na otwarciu ekspozycji, co niby nie tak znów ważne, ale bardzo wymowne w wypadku artysty, którego twórczość znają bywalcy najbardziej cenionych galerii świata. Galeria chełmska, startująca nie bez kłopotów, dostarcza dziś miastu znaczących powodów do satysfakcji.

W jej pomieszczeniach prezentował również swoje prace Ryszard Winiarski, od pewnego czasu związany zresztą z Lublinem faktem prowadzenia zajęć w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS. Po raz pierwszy Winiarski pojawił się na naszym terenie dwanaście lat temu, kiedy to uczestniczył w Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach (1966), gdzie otrzymał nagrodę główną tego ważnego spotkania za serię obrazów, które były wizualną notacją układów statystycznych, „redagowanych" rzutami kostką do gry lub monetą. O ile wiem, nikt przed Winiarskim nie odwołał się tak demonstracyjnie i totalnie do teorii informacji i statystyki, jako źródła, przedmiotu i metody twórczości artystycznej. W pewnym sensie był przygotowany profesjonalnie do takiego właśnie działania, albowiem jeszcze przed Akademią Sztuk Pięknych ukończył Politechnikę Warszawską (1959).

„Układy statystyczne" Winiarskiego przedstawiały się początkowo jako kompozycje czarnych i białych kwadracików. Później pojawiały się akcenty barwne i podłoża lustrzane. Od 1972 roku artysta zaczął wciągać do działania publiczność („Galeria Współczesna" w Warszawie, „Galeria 72" w Chełmie itd.), co było naturalną konsekwencją jego koncepcji twórczej, opartej na „filozofii przypadku". Przypadku, który w gruncie rzeczy jest nieprzypadkowy. Winiarski podziela bowiem pogląd „iż wszelkie zjawiska podlegają prawidłowościom przyczynowym, ogólnym prawom rozwoju, które mają charakter statystyczny".

To, co robi Winiarski jest przykładem przewrotnej gry matematycznej, czy raczej — z udziałem matematyki. Metody statystyczne i inne techniki z obszaru tej nauki służą artyście do wyrażania swojej postawy wobec tego, co zwykliśmy nazywać sztuką, do inicjacji swoistej „zabawy dydaktycznej" z udziałem innych osób, w której czynnik emocjonalny odgrywa wcale nie małą rolę. A trzeba przyznać, że do owej z a b a w y zachęca skutecznie, czego skromnym dowodem moje zdumienie na widok katalogu wystawy Winiarskiego, który przedstawia „próby, eksperymenty i doświadczenia w latach 1977—1980"! No cóż, pożyjemy, zobaczymy...

IJK

P.S. Ponadto w grudniu galeria „Labirynt" wystąpiła z kolejną „Ofertą", Wojewódzki Dom Kultury i Fotoklub „Zamek" urządził kolejne „Konfrontacje" fotograficzne, a BWA pokazało wystawę indywidualną Andrzeja Skoczylasa obejmującą malarstwo z lat 1972—1977, m. in. cykle „Pamiętnik" i „Moja siostra z Szanghaju", w sumie 40 obrazów, do których warto będzie w przyszłości powrócić.

Inna sprawa: w telewizyjnym „Pegazie" wystąpił 15 grudnia ub. roku Tadeusz Kantor, który zapytany p r z y o k a z j i, co sądzi o książce Bożeny Kowalskiej „Polska awangarda malarska", w odpowiedzi skierował pod adresem autorki kilka zdań tyle brutalnych, co niesprawiedliwych. Do publicystyki B. Kowalskiej, do jej książek można mieć takie czy inne uwagi polemiczne, uzasadnione odmiennym systemem wartości, ale t o t a l n e odmawianie kompetencji autorce podstawowej dziś pracy o powojennych dziejach naszej awangardy, pracy zawierającej ogromny materiał faktograficzny i rzeczowe interpretacje — takie postępowanie można uznać za manifestację zwyczajnej złośliwości. Kantor podaje dłoń Osęce — kto się mógł tego spodziewać!!!

Kamena str. 12

końcu wszystkiemu jest w stanie stawić czoła.

W „barbórkowym" numerze „Sztandaru Ludu" (3—5 XII 1976) Aleksander Bąbczyński, dyrektor kopalni LZW w budowie, odpowiada na pytanie dziennikarza:

— Czy na długo odwlecze się moment dotarcia do pierwszego węgla?

— Jest to kwestia trzech, czterech miesięcy.

Jak wiadomo, musiało minąć tych miesięcy trzynaście! Ale już 1 stycznia 1977 roku pojawiła się relacja z pierwszego etapu przechodzenia kurzawki: „O pierwszej w nocy z 1 na 2 września zjechaliśmy na dół... Gdy dowierciliśmy się do kurzawki, wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami. Najpierw nastąpił wzrost ciśnienia, który uniósł nawet maszynę do wiercenia olbrzymie parcie ciśnienia sprężonego w jądrze szybu wokół płaszcza mrożeniowego, następnie wylew sprężonej kurzawki i wszystko się uspokoiło... Ucieszyliśmy się ogromnie... Za wcześnie" („Życie Warszawy").

Rok 1977. Dziesięć miesięcy trwa walka z kurzawką. Rzadkie relacje prasowe uderzają teraz w ton ostrożności: „Węgiel się broni". „Jura broni węgla". „Trudna droga do węgla". Bardzo trudno zasięgnąć jakichś konkretnych informacji w dyrekcji LZW. Pojawiają się — z drugiej strony — pretensje do dziennikarzy: „Jak było dobrze, wówczas klaskaliście. Gdy jest gorzej, szukacie winnych"!

2 listopada zatelefonował do mnie nadsztygar Styczeń:

— Jestem panu coś winien. Kiedy pan pisał o mnie reportaż, wówczas pan spytał, czy przejdziemy kurzawkę. Odpowiedziałem, że tak. Więc teraz panu mówię, ale tak całkiem prywatnie, że przeszliśmy właśnie dzisiaj.

— Ale jak to się odbywało, panie Aleksandrze?

— Informacji udziela dyrekcja.

Przez najbliższych kilka dni niczego się nie mogłem dowiedzieć: „Niech pan poczeka, i niech pan poczeka".

Gdy delegacja PRG 8 listopada zameldowała władzom województwa katowickiego o przejściu kurzawki, poczęły się w prasie ukazywać notatki.

Na temat owych dziesięciu miesięcy można by napisać książkę. W pewnym momencie, gdy do kurzawki pozostało już tylko pół metra, wiertacze ze specjalistycznego przedsiębiorstwa nie mogli kontynuować roboty na dole, ponieważ dostali rozstroju żołądka od nadmiernego spożycia maślanki. Na dół zjechali więc zasadniczo kapitanowie robót górniczych: nieżyjący już dzisiaj Puchalda oraz Styczeń, Hartung... I wiertacz Majchsiuk, który właśnie „przekłuł" kurzawkę, ale zanim to nastąpiło, umówili się, która drabinka w razie czego każdy będzie uciekał. Na szczęście nie było potrzeby. Czy się bali? „Tylko zwierzę się nie boi, panie redaktorze".

Lecz największa robota zaczęła się dopiero później, gdy z otworu zaczęły wypływać masy wody... Gdy trzeba było szyb korkować sześciometrową warstwą betonu... Gdy obudowa poczęła pękać... Gdy przyszło mrozić do głębokości 700 metrów...

•

Rozmawiałem z prostymi górnikami, budującymi szyby pod Bogdanką:

— Nas poganiać nie trzeba, u nas dryl taki surowy, że sami się poganiamy. Robimy, nie oglądamy się. I łaski nie robimy, że pracujemy. Robimy w takim czasie, jak tylko jest możliwe zrobić.

W dyrekcji LZW usłyszałem jeszcze w połowie grudnia przed dotarciem do lubelskiego węgla, że Barbórka będzie.

Wszyscyśmy się czegoś nauczyli przy tym niepokornym węglu lubelskim, przy budowie prowadzonej w warunkach unikalnych. Może trochę pokory? A Barbórka była 3 stycznia 1978 roku.

Maciej Podgórski

POD PARAGRAFEM

Kometa

ANDRZEJOWI Komecie, kawalerowi, bez majątku, nie karanemu, wiodło się w życiu, można powiedzieć, co najwyżej średnio. Rodzice odumarli go, jedynaka, dość wcześnie. Edukacja mu się urwała na poziomie niedokończonej zasadniczej szkoły mechanicznej, bo musiał zarabiać na chleb i na wino marki „Wino", zresztą jako palacz centralnego ogrzewania w MPK.

Ta robota mierziła go jeszcze bardziej niż trądzik młodzieńczy na twarzy, ponieważ Kometa od zarania swych lat nosił się z zamiarem pozostania kierowcą-mechanikiem samochodowym, co też i zaczął w czyn wprowadzać w zasadniczej mechanicznej, ale chwilowo nie dokończył.

Jako palacz przepracował dwa lata w MPK. W tym czasie pracodawcy nie mieli mu nic do zarzucenia, może dlatego, iż stanowisko pracy palacza z natury mieści się głęboko pod ziemią. Natomiast inne organa twierdziły o Komecie, że nadużywa napojów i zadaje się z elementem.

Wiele wszelako trzeba wybaczyć chłopakowi przed wojskiem, dopiero bowiem wojsko z chłopaka robi mężczyznę świadomego swych celów i przeznaczeń. Ale w wojsku, jednostce zmechanizowanej, Komecie też nie szło najlepiej. Mechaniki, owszem, poduczył się, lecz prawa jazdy na ciężki sprzęt ogólnowojskowy nie mógł uzyskać, zbytnie bowiem był Kometa rozkojarzony i słabowity. Tak że po roku zasadniczej służby wojskowej, wcześniej zwolniony, stawił się do macierzystego MPK, gdzie jako przeszkolonemu w mechanice, oferowano mu posadę mechanika samochodowego i zatrudniono przy naprawie autobusów miejskich.

Tedy połowę swego celu życiowego Kometa osiągnął, została mu jeszcze druga, ta ważniejsza, można powiedzieć, większa połowa. Był mechanikiem, jeszcze potrzebował zostać kierowcą. Więc stanął na badania lekarskie w swoim przedsiębiorstwie i wszystko by było w porządku, gdyby psychologowie nie orzekli, iż kierowca być nie może ze względu na brak refleksu. W tym momencie Komecie stanęło przed oczami całe jego przyszłe życie czarnego tyraka, który nigdy nie siądzie za kierownicą autobusu, nigdy nie zahamuje z fasonem na przystanku, nigdy nie ruszy w trasę z wyciem gazu i dyferencjału.

Co najwyżej mógł liczyć, że mu pozwolą zapalić jakiegoś grata przeznaczonego do remontu i wjechać na kanał, co zresztą w MPK czyniono, pogłębiając niechcący bezbrzeżną depresję, jaka opanowała Kometę. Lecz depresja lubi się przemieniać w agresję, o czym nie wiedziano w bazie MPK.

Pewnego wieczoru Kometa wypił był trzy butelki wina i padł spać, tak jak i pił — samotnie. Następnego dnia od rana leczył się piwem, ponieważ do pracy miał stanąć dopiero na trzecią zmianę, o 22.00. W bazie zjawił się jednak o 20.00, albowiem nie miał co robić w domu. Wsiadł do jednego z remontowanych autobusów i wyjechał do miasta, zabierając z przystanków pasażerów i przejeżdżając w sumie około 30 kilometrów... Na szczęście bez ofiar w ludziach i urządzeniach komunalnych, choć niewiele brakowało.

I w tym momencie kończy się historia Andrzeja Komety, człowieka głęboko nieszczęśliwego i sfrustrowanego, ponieważ nie mógł zostać kierowcą. Dwa i pół roku pozbawienia wolności za „sprowadzenie bezpośredniego niebezpieczeństwa zdarzenia, mającego postać katastrofy w ruchu lądowym i zagrażającego życiu lub zdrowiu ludzi albo mieniu w znacznych rozmiarach" — jak to sformułowali swoim przejrzystym językiem prawnicy.

Oczywiście, jeszcze przedtem była historia pościgu kierowcy kursowego autobusu MPK za lewym autobusem Komety. Zapędzenie pojazdu Komety w ślepą uliczkę, odstawienie Komety na pobór krwi, komisariat i tak dalej.

Dyrekcja MPK zwolniła z pracy Andrzeja Kometę, nagrodziła kierowcę, który go dostrzegł na ulicach miasta i dopadł. Nie wiadomo wszelako, jakim cudem Kometa mógł nieoznakowanym autobusem wyjechać za bramę bazy MPK, skoro w bramie jest zamknięty szlaban, nad którym czuwa odpowiedzialny człowiek?

pom

Malarz na koniu

Dokończenie ze str. 1

Jak się chce trochę poznać człowieka, trzeba wejrzeć w jego mieszkanie. Zobaczyć sprzęty i rzeczy, którymi się otacza i wśród których żyje. Maciej Falkiewicz żyje w ten sposób w dwu pokojach z kuchnią w arystokratycznej dzielnicy nowych bloków miasta wojewódzkiego Biała Podlaska.

ASP skończył w Warszawie w 1974 roku, robiąc dyplom w pracowni profesora Michała Byliny, pochodzi z Lublina. Więc mieszkał i uczył się w dużych miastach, ale polubił konie i swobodną przestrzeń. W trakcie studiów jeździł w stadninie ogierów w Białce jako uczestnik obozów studenckich. Tutaj pod czas woltyżerki, różnych skoków przez konia, szpagatów, złamał nogę. „Staremu chłopu się zachciało woltyżerki" — szydzi z siebie. Ale mu nie przeszło.

Kiedyś pojechał do kuzynów w Bełżycach żeby spokojnie zasiąść nad pracą dyplomową dla ASP. Lecz u kuzynów był koń, młody, wszechstronnie użytkowy, i Falkiewicz nie strzymał. A wkrótce założył na miejscu sekcję jeździecką w międzyzakładowym klubie sportowym. Chłopów okolicznych przekonał, że koń gospodarski jest więcej wart jako koń podjeżdżony wierzchem, i chłopi w niedziele, po mszy, wyprzegali rumaki, szli na niwę, a Falkiewicz uczył młodzież tubylczą jazdy.

Niedługo po studiach został zaproszony na plener malarski w Janowie Podlaskim, poświęcony, oczywiście, tematyce końskiej, bo Janów stadnina słynie w świecie i tak Falkiewicz wsiąkł, tu stadnina, tu plenery, konie i malarstwo. Porzucił wygodne lokum w Lublinie, a że młode województwo bialskopodlaskie potrzebowało kadry, zaoferowano mu posadę w muzeum okręgowym, godziny wychowania plastycznego w liceum oraz trzeba przyznać, że szybko — mieszkanie w Białej Podlaskiej, w którym spokojnie wiesza do dzisiaj hełmy, ostrogi, szable, siodła i obrazy.

Pod koniec 1975 roku zdobył uprawnienia instruktora jazdy konnej, aby potem podjąć zajęcia w filii warszawskiej AWF w Białej jako asystent. Dojeżdżał ze studentami na treningi do janowskiej stadniny i to był ciężki okres, nieco heroiczny nawet.

Falkiewicz cały czas jednak nie łamał się, tylko szukał. Aż znalazł. Stara stodoła na przedmieściu Białej Podlaskiej, który to obiekt stał się zaczątkiem Bialskopodlaskiego Klubu Jeździeckiego. Dla studentów, mieszkańców Białej, turystów.

Adaptacja owej stodoły na stajnię, sprowadzenie pierwszych koni wierzchowych, otwarcie Klubu z początkiem listopada 1977 roku, dalsze, rozpoczęte już, poczynania — to wszystko nie jest historia prosta. I Falkiewicz wcale nie twierdzi, iż wyłącznie jego w tym zasługa, że Klub powstał. Gdyby całej imprezie, pomyślanej jako stowarzyszenie społeczne i ze społecznych środków powołanej, nie służyło poparcie mocnych partnerów, a szczególnie wicewojewody bialskopodlaskiego, Jerzego Cywoniuka, i dyrektora stadniny w Janowie, Andrzeja Krzyształowicza, kto wie, czy sprawa by się nie rozmyła u podstaw.

Na razie, jak zwykle w takich wypadkach, ludzie niekompetentni powiadają: „Falkiewicz to musi jakąś grubszą forsę robić przy tej końskiej okazji, że tak wokół sprawy biega"! Tymczasem on wozi swoim maluchem gwoździe, zawiasy, cement, wapno. Jeździ po zakładach, żeby pożyczyć wędkę do postawienia kilku słupów elektrycznych... Robi to bezinteresownie, ponieważ wierzy w te swoje wierzchowce, kuligi, zaprzęgi... Że to komuś może przynieść radość.

Jakiś dziwny facet, nie dość, że malarz, to jeszcze na koniu. Zamiast, jak należy, w garniturku, koszuli i krawacie, on się wałęsa po mieście na ogół w bryczesach, butach z cholewami, golfach i kurtkach. Kiedyś rozmawiał w takim stroju z wojewódzkim szefem szefów i jeszcze dziwniejsza rzecz się stała — szef szefów zamiast obrazić się za despekt wielki, pochwalił buty Falkiewicza.

Pytam Falkiewicza, czy nie odczuwa samotności, kiedy przyjdzie do swojego mieszkania, do tych pokoi bezludnych, w mieście, gdzie jest od niedawna?

— Nie mam czasu myśleć o samotności, po prostu. W dzień tak się nabiegam i nagadam, że wieczorem jestem szczęśliwy, gdy mogę być sam, bo już by mnie denerwowało gadanie. Ale i tak zawsze ktoś wpadnie za interesem. Niektórzy chcieliby, żebym ja był taki więcej normalny, ożenił się, dzieci narobił. Podejrzewają, że swój pobyt w Białej traktuję tymczasowo. A ja po prostu chcę żyć na sposób, który mi odpowiada.

Wobec tego pytam Falkiewicza, czy jako malarz nie ma poczucia drugorzędności, żyjąc w oddaleniu od dużych środowisk twórczych, wielkich salonów wystawowych, kontaktów zawodowych?

— Trochę mnie ratują plenery janowskie, dające okazję do różnych pożytecznych spotkań i konfrontacji. Ale nie o to idzie, gdyż w takim mieście jak Biała Podlaska można malować, mnie do malowania nie potrzebny instynkt stadny. Ponadto i w takim mieście można czuć się potrzebnym jako plastyk zawodowy.

Więc czy jest wykorzystywany jako plastyk?

— Szczerze mówiąc, jestem lepiej widziany jako koniarz w środowiskach sportowych, niż jako malarz w środowiskach działaczy kulturalnych. Zdaje się, że niektórym urzędnikom wygodniej widzieć we mnie koniarza, niż plastyka. Tutaj chodzi o kompetencje. Jakoś nikomu nie przychodzi do głowy, żeby ze mną konsultować pewne rzeczy i kwitnie sobie spokojnie chałtura „sztuki ludowej" podszyta drobnomieszczańskością. A kiedy chcę swoją wystawę w terenie urządzić, muszę biegać za samochodem do przewozu prac. Ale w końcu macham na to wszystko ręką. Jak się trochę sprawa klubu jeździeckiego ustabilizuje, wówczas weźmie się pełną parą za malowanie.

Falkiewicz powiedział mi, że nosi się z zamiarem kupna od kuzyna z Lublina starej, blaszanej „dekawki". Jeśli kuzyn dojedzie z Lublina do Białej, wówczas transakcja zostanie zawarta. A wtedy Falkiewicz pomyśli o założeniu w Białej klubu weteranów szos.

Nie jestem pewny, dlaczego on tak angażuje się w rozmaite sprawy, może to jest obrona przed jakąś pustką. Ale wiem, że to, co robi, nie jest złe.

Pociej

Kamena str. 13

KALEJDOSKOP

Rzeczywiście trudno!

Wojewoda lubelski Mieczysław Stępień, wypowiada się w ankiecie „Kultury" (nr 2): „Trudno jest skutecznie kierować dziedziną gospodarki, której faktycznymi nestorami na szczeblu centralnym jest ponad 20 różnych resortów i centralnych związków, a każdy z nich opiera się na odrębnych przepisach i własnych programach. A tak właśnie dzieje się w przypadku usług i produkcji drobnych artykułów rynkowych". Bez komentarza.

Wiara sprawia cuda

Dbający o poczytność warszawski miesięcznik społeczno-kulturalny „Barwy" od zarania 11-letniego istnienia drukuje na pierwszej stronie artykuł swego redaktora naczelnego. W styczniowym numerze nieco się zmieniło: zamiast artykułu naczelnego jest wywiad z wiceministrem. Rzut oka na trzecią stronę, gdzie znajduje się dokończenie wywiadu dowodzi, że zmiana jest pozorna: wywiad przeprowadził naczelny. W tychże samych „Barwach" już czternasty odcinek „Zapisków londyńskich" (miesięcznik drukuje je ponad rok, ale w Londynie życie biegnie wolniej) i fraszka o dzieciach: „Wyciągają ręce. / Wciąż wołają — więcej!" Mimo wszystko wierzymy, że w „Barwach" pracują ludzie dorośli... Pozdrowienia!

Temat bez dna

Tadeusz Wiącek drukuje w kieleckich „Przemianach" felieton na temat Rosiewicza. (Jest zdjęcie Wiącka, nie ma Rosiewicza, i słusznie bardziej znany). Pisze o nim: „Jeśli Andrzej Rosiewicz chce uniknąć dna, w które od spodu już nikt nie puka musi znowu zabrać się do pracy. Odcinanie kuponów od przebrzmiałych sukcesów zaprowadzi go na pozycje Nieżychowskiego". Wniosek: właśnie Nieżychowski znajduje się już na takim dnie ostatnim. Znamy znacznie gorszych artystów — gorszych i od Rosiewicza i od Nieżychowskiego. Na jakim dnie ich umieścić?

Zagranica pijaństwa

„Polityka" (nr 1) — „Coś z życia": „Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Rygałowicach woj. suwalskie wyjaśnia, że traktorzysta Jan G. dlatego przejechał traktorem granicę państwa polskiego że jej nie zauważył, a nie zauważył jej, ponieważ był bardzo pijany akurat wtedy kiedy jechał". Okazuje się że najlepiej jest, kiedy granicę tworzy rzeka — wpadając do niej można wytrzeźwieć.

Urodzić się w samą porę!

Rzeszowskie „Profile" przypominają „Horoskop na całe życie", który był propagowany w pierwszej połowie XVIII wieku. Urodzeni we wtorek pod znakiem Marsa, przy zachodzie „znaczy się uciemiężenie, szkody w pracy i przeszkody w każdej rzeczy, krótkie życie i szkody z rzeczy źle nabytych, częstokroć śmierć z violencji nienaturalna..." Jeśli jakaś para zamierza powiększyć rodzinę, warto ów horoskop wziąć pod uwagę i przyszła matka powinna jakoś przetrzymać owo „przy zachodzie" bo już w nocy we wtorek rodzą się ludzie „wielkiej władzy".

Zawodna pamięć

Jerzy Pachlowski, prezes szczecińskiego oddziału ZLP, w „Tygodniku Kulturalnym" (nr 2): „A więc do nazwisk szczecińskich pisarzy legitymujących się już określonym dorobkiem — Ryszarda Liskowackiego, Adolfa Momota, Stanisława Wita Wilińskiego, Heleny Raszki, Schabowskiej, Bronisława Słomki — dołączają nowe..." „W tej wyliczance zabrakło nam Ireneusza Gwidona Kamińskiego, w swoim czasie również prezesa oddziału ZLP w Szczecinie. Ładnie tak zapominać dzisiejszemu prezesowi o swym poprzedniku? A swoją drogą zapraszamy szczecińskich literatów do współpracy z „Kameną"!

Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagować rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA

Karaś i Bauer

Białostockie „Kontrasty" (nr 1) o nowej książce Romualda Karasia „Nazywam się reks..."; „Cóż więc Karaś zebrał w tomie (...)? Jego reportaże przypominają — dość żałośnie w swojej „czystości" plony konkursów na pamiętniki. Albo stanę monodramaty. Stylizatorstwo — to ostatnia konsekwencja metody reportażu w najnowszej książce Karasia, książce w której konstrukcja przerosła zawartość".

O tej samej książce krakowskie „Życie Literackie" (nr 2): „Ludzie, którzy mówią o sobie, często w słowach poszukują rekompensaty tego, czego zabrakło w ich życiu. Jeśli zaś monologi stanowią wtórny zapis — to błąd się powiększa: zbyt wiele tu ekwiwokeń dość powierzchownych wartościowań, grania na sentymentach nieskomplikowanych ciągle tych samych. (...). Zbiór Karasia nosi na sobie znak niczym nie tłumaczonego okazjonalizmu, pośpiechu..."

I „Kontrasty" i „Życie" krytykują Karasia. Nie wypowiadamy się, książki nie czytaliśmy, „Czytelnik" nie przesyła nam egzemplarzy recenzyjnych, a kupować wszystkie nowości po prostu nie jesteśmy w stanie. Jednomyślność w krytyce z jednego tylko względu zastanawia: recenzentem i tu i tam jest ta sama osoba — Zbigniew Bauer. Rozumiemy, że krytyk też człowiek i też chce zarobić, ale od czego są pseudonimy? Np. Zbigniew Chłop, Zbigniew Wieśniak, lub po prostu Zbigniew Gbur (vide: słownik Kaliny).

Śmiechu warte

Czytelnik „Kierunków" (nr 2) krytykuje głupawe — to jego określenie — nazwy „Polleny": „Ścierpiałem bez skargi krem „Mefisto", obojętnie nabywałem „Parysa", bez mrugnięcia okiem sięgam po wodę „Jucht" — ale ostatnio wśród radosnych przesmiewek pani kioskarka zaproponowała mi nowy produkt „Polleny" ochrzczony „Brutal" (dezodorant męski w aerozolu za 51 zł puszeczka)." Nie wiemy, czego właściwie chce czytelnik „Kierunków". My tam wolimy prześmiewki pani kioskarki niż jej poburkiwania. A śmiech to zdrowie!

Kogo obić?

W „Expresie Wieczornym" Jarosław Szczepański pisze o Zamojskich Fabrykach Mebli: „Powstają (tu) meble tapicerowane, fotele, krzesła, tapczany. Obejrzałem w magazynie około 200 foteli. Nie kupiłem żadnego. Obicia fatalne.

— Bierzemy niestety takie obicia, jakie przesyła nam przemysł tekstylny — mówi szef kontroli — i tak ostatnio zwiększyła się gama kolorystyczna.

Aż strach pomyśleć, jaka więc musiała być poprzednio. Zastanawia jednak upór przemysłu tekstylnego. Czy naprawdę nie można zacząć produkować ładnych materiałów obiciowych?"

Zachęcamy J. Szczepańskiego do rozmowy z szefami przemysłu tekstylnego. Czytelnicy „Expressu", potencjalni nabywcy mebli zamojskich, czekają na rzetelną odpowiedź, bo przecież plastyków ponoć mamy w nadmiarze.

2×pytanie

9 stycznia o godzinie 17.30 zamówiliśmy rozmowę z Pragą. Po dwóch godzinach zaczęto nas łączyć. Trwało to ok. 15 minut. Wreszcie telefonistka odpowiedziała, że numer „nie wybiera", a potem, że „nie odpowiada". Poprosiliśmy o ponowną próbę połączenia za półtorej, dwie godziny. Telefon ciągle jednak milczał. O 22.30 bezskutecznie próbowaliśmy się połączyć z reklamacją — 909. Ostatecznie zadzwoniliśmy ponownie pod numer 900. Telefonistka oświadczyła, że teraz „nie ma naszej obsady w Warszawie" i że ewentualnie o połączeniu z Pragą może być mowa po północy. Nie chcieliśmy ściągać ludzi z łóżek, z rozmowy zrezygnowaliśmy. A podobno z Warszawy do Pragi telefonuje się automatycznie? Jak zresztą się, niedawno dzwoniąc z Pragi do Lublina i to w samo południe. Co pan na to, panie dyrektorze?

Bracia Kamenowicze napisali następujący tekst, słowa, ... pod ..., ..., krytyczny materiał do prasy, po czym podziękowali i odłożyli słuchawkę. Była godzina 23..., minęło dwadzieścia minut, zatelefonował telefon: „Czy pan jeszcze czeka na Pragę". Jeden z braci Kamenowiczów odpowiedział: „Oczywiście", i zaraz odezwała się na linii Praga.

I teraz dopiero pytamy z całą powagą: co pan na to, panie dyrektorze, za łączność międzymiastową bezpośrednio w wojewódzkim mieście Lublinie odpowiedzialny?

Co robi ekspedient?

Znajoma miała pewne delikatne zobowiązania i kupiła w lubelskim „Bazarze" koszyczek z koniakiem, szampanem, czekoladą itp. Ekspedientki zdecydowały się i zaczęły szeptać między sobą: „Popatrz, ta to ma pieniądze, może sobie pozwolić..." Kiedyś, w bardzo dawnych czasach, ekspedient zachęcał do kupna. Dziś zniechęca.

Smaczny wystrój

Restauracja GS-owska w Zemborzycach koło Lublina, leżąca nieopodal Zalewu, i może z tej okazji nazywająca się „Fregata", ma piękny wystrój. Wszystko byłoby w porządku, gdyby gastronomia miała na celu tylko zaspokajanie gustów estetycznych. W niedzielę, 8 stycznia, o godzinie 14.30 brakowało już dań na zamówienie, a w bufecie można było wybierać między śledziem a kiełbasą. Od lata nic się nie zmieniło — krytyczny list w „Kamenie" na ten temat i wpis do książki zażaleń pozostały bez odpowiedzi. Może prezes GS zamiast zmieniać kolejnych kierowników zdecydowałby się lepiej oddać „Fregatę" w ajencję? Przykład restauracji w Sadurkach, tak licznie odwiedzanej przez lublinian, daje dużo do myślenia. Czy nie warto skorzystać z dobrych doświadczeń?

Brawo Olek!

Znów nagroda dla (ciągle) młodego twórcy z Lublina. Aleksander Rozenfeld w konkursie „U źródeł nowego wieku" zorganizowanym przez ZG TPP-R, ZG SZSP, redakcje „Nowego Medyka", „itd", „Politechnika" i „Studenta" otrzymał trzecią nagrodę w dziedzinie twórczości literackiej (pierwszej nie przyznano) za wiersz „Bez tytułu". Półtora tysiąca złotych piechotą nie chodzi. Bracia Kamenowicze zapraszają się na kolumbijkę.

Do dzieła!

Studenckie Centrum Literackie działające przy SCK (?) „Pod Jaszczurami" w Krakowie ogłasza konkurs na utwór krytyczny (szkic, esej, rozprawa) dotyczący sztuki współczesnej (literatura, kabaret, film, plastyka, muzyka itd.). Termin — do 31 stycznia. Adres: „Jaszczury", Kraków, Rynek Główny 8. Imię, nazwisko, adres autora; godło niepotrzebne. Łączna kwota nagród 3000 zł. Lublinianie — do dzieła, jako że u nas tematów nie zabraknie. Szczególnie dowcipni mogą wziąć udział w innym konkursie — Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Kielcach. Jest to konkurs na anegdotę, dowcip, celne powiedzonko. Prace (najmniej 20 dowcipów) wysyłać pod adresem Wydziału Kultury i Sztuki UM w Kielcach, Pl. Partyzantów 1 do 20 marca 1974. Warunki — jak wyżej. Kwota nagród nie podana. Ze swej strony proponujemy przedłużyć konkurs do 1 kwietnia, czyli do Prima Aprilis.

Stać je na to

PP „Totalizator Sportowy" wykorzystuje każdą okazję do organizowania specjalnych, nadprogramowych zakładów. Ostatnio były zakłady sylwestrowe. Aby zjednać potencjalnych milionerów, drukuje się kupony, które grającym nic nie kosztują. „Totalizator" nie wie jednak, jak zakłady chwycą, drukuje więc kupony „na zapas". „Głos Pracy" zapytuje, ile takie marnotrawstwo kosztuje? (W Warszawie np. olbrzymie ilości kuponów pozostały w kioskach). Pytanie za milion złotych!

Bracia Kamenowicze

ekran i widz

Tęsknota za „Wielkim Niemową"

PAMIĘTACIE „Milczenie jest złotem" René Claira? Akcja tej uroczej, spowitej nigdzie poetyckiej zadumy komedii toczy się u progu naszego stulecia w Paryżu, gdzie właśnie rodzi się nowa sztuka oparta na ostatnim cudzie techniki: kinematografia. Paryż konnych dyliżansów i artystycznych mansard Montmartre'u, Paryż wesołych midinetek przechadzających się po bulwarach i artystów przesiadujących w kawiarniach, przemieszany jest w filmie Claira z Paryżem prymitywnych hal zdjęciowych, w których terkocą poruszane ręczną korbą kamery operatorów, a na planie przypadkowi „aktorzy" usiłują nieudolnie rozgrywać humorystyczne sceny. Kreację aktorską stworzył Maurice Chevalier wcielając się w postać reżysera filmowego, mężczyzny wchodzącego już w „smugę cienia", mającego w swoim obecnym zawodzie niewiele większe doświadczenie niż jego wynajdowani na dziko aktorzy.

René Clair nakręcił „Milczenie jest złotem" w 1947 r. po powrocie z hollywoodzkiej wojennej emigracji, po latach tęsknoty za ojczyzną, za Paryżem swojej młodości. Może tym chętniej sięgnął po temat dotyczący początków kina, że przecież właśnie on sam stawiał pierwsze reżyserskie kroki za czasów kina niemego i również w okresie panowania na ekranach „Wielkiego Niemowy" odnosił pierwsze sukcesy artystyczne. Clairowski powrót do ojczyzny był między innymi również powrotem historyczno-emocjonalnym.

Gdy przetoczył się pierwszy impet rewolucji dźwiękowej w kinie, kiedy film ostatecznie umocnił się na nowych pozycjach, zaczęto z coraz bardziej rosnącym zaciekawieniem spoglądać wstecz, na fascynujące, pełne przygodowej romantyki lata narodzin i wzrostu X Muzy, na okres rozkwitu „milczącego imperium" i wreszcie — na pasmo tragicznych upadków filmowych idoli, nie potrafiących się adaptować do wymogów, jakie stawiało kino dźwiękowe.

Film René Claira był jeszcze tylko sentymentalną komedią z „filozoficznym" podtekstem; nakręcony w dwa lata później w Stanach Zjednoczonych przez Billy Wildera „Bulwar Zachodzącego Słońca" (w którym główną rolę zagrała przebrzmiała gwiazda filmu niemego Gloria Swanson, a obok niej — w epizodycznych rolach — wystąpili Erich von Stroheim oraz Cecil de Mille) to już przejmujący dramat ukazujący tragiczną złożoność losów ludzi związanych z odchodzącym w zapomnienie światem kina niemego.

Im bardziej „Wielki Niemowa" odsuwa się od nas w czasie, tym więcej... nas fascynuje. Wystarczy wspomnieć popularność jaką cieszą się za każdym razem takie filmy jak np. amerykański: „Trzydzieści lat śmiechu", oglądane w klubach filmowych nieme filmy z Busterem Keatonem, Haroldem Lloydem czy Charlie Chaplinem, lub idąca od szeregu miesięcy na ekranach polskich telewizorów seria — „Ze świata burleski". Nie mówiąc już o tak „elitarnych" imprezach, jak niedawny przegląd filmów Griffitha zorganizowany w Warszawie przez Filmotekę Polską i nowojorskie Museum of Modern Art Film Library.

Ostatnio na naszych ekranach pojawiły się dwa filmy amerykańskie, których twórcy znowu nawiązują do wczesnego okresu kina, w obydwu zresztą przypadkach — kina amerykańskiego. Rzecz charakterystyczna: „Nieme kino" Mela Brooksa i „Nickelodeon" Petera Bogdanovicha powstały w tym samym, 1976 roku.

„Nieme kino", ukazujące niezwykłe przygody trzech przyjaciół usiłujących zrealizować w dzisiejszym Hollywood film niemy, jest komedią nakręconą w stylu amerykańskich burlesek, pełną szalonych pogoni, slapstickowych sytuacji i gagów wzorowanych na klasycznych schematach tego gatunku. W wykonawcach głównych ról dostrzegamy jakby przez mgię — Bustera Keatona, Fatty Grubaska czy Harolda Lloyda. „Star system" uruchamiają potencjalni realizatorzy filmu przez skłonienie do współpracy Burta Reynoldsa, Jamesa Caana, Lizy Minelli czy Paula Newmana, którzy też ochoczo — i wbrew przewidywaniom opozycjonistów — zgadzają się wziąć udział w wielkiej filmowej przygodzie. Ale najzabawniejszą stroną „Niemego kina" jest fakt że... jest to film od samego początku do końca niemy — oczywiście nie licząc podkładu muzycznego — wsparty tylko ukazującymi się co pewien czas na ciemnym ekranie „pomocniczymi" napisami. Jedyne słowo w „Niemym kinie", słowo: „nie", pada z ust wielkiego francuskiego mima Marcela Marceau, którego bohaterom komedii nie udało się zwerbować do filmu. Zabawa w nieme kino w pełni się Brooksowi udała (bo chyba trzeba ten film traktować przede wszystkim jako zabawę a nie — „eksperyment") i tylko można żałować, że na polskiej kopii napisy są tak obrzydliwie „techniczne", tak bardzo „współczesne", nie oddające plastycznego ducha napisów z tamtej epoki.

Ze świata burleski

Peter Bogdanovich potraktował temat podjęty w „Nickelodeonie" bardziej serio. Rozpatruje początki amerykańskiego kina w aspekcie — rzec by można — historyczno-socjologicznym. Jego film jest normalnym „dźwiękowcem", ale akcja toczy się w dziesiątych latach naszego wieku w Kalifornii, gdzie kino wciąż jeszcze było prawie jarmarczną rozrywką, „cudem techniki". Zbierająca się co wieczór w tanich „nickelodeonach" wielojęzyczna emigrancka publiczność mogła wreszcie, patrząc na niemy ekran, odnaleźć się w nowym, obcym świecie. Aktorem, operatorem, reżyserem mógł zostać właściwie każdy, kto miał trochę inwencji i oleju w głowie. Przepędzony przez klientów prawnik, kowboj któremu znudziło się doglądanie bydła, podrzędna aktoreczka, której zbrzydła wędrowna scena. Często traktowali kręcenie filmu jako przygodę pozwalającą przy okazji na zarobienie na chleb a mniej dbali o końcowy efekt jawiący się przed publicznością na ekranie „nickelodeonu". Tak właśnie jest i w wypadku bohaterów filmu Bogdanovicha — Leo Harrigana (Ryan O'Neal), Bucka Greenway'a (Burt Reynolds) i Kathleen Cooke (Jane Hitchcock). Ale też w tym czasie rodzi się już na amerykańskich planach geniusz Davida W. Griffitha, zaczyna kręcić filmy młodych Charles Chaplin, wkrótce „jarmarczna rozrywka" zacznie dynamicznie ewoluować w stronę rejonów sztuki. Kiedy bohaterowie „Nickelodeonu" obejrzą w kinie „Narodziny narodu" Griffitha, zrozumieją że oto na ich oczach rodzi się „Wielki Niemowa"...

Niedawna śmierć Charlesa Chaplina wpłynie najprawdopodobniej na jeszcze większy wzrost zainteresowania niemym okresem kina; zostaną odblokowane filmy, na których wyświetlanie nie zgadzał się autor (poza klubami filmowymi), ukażą się artykuły i publikacje. A tymczasem warto wybrać się na „Nieme kino" i na „Nickelodeon" szukając w nich może — nie tyle: doskonałości artystycznej co emocji sentymentalnej i historycznej refleksji.

M. D.

POCZTA LITERACKA

Z. H. P. Jarosław. Powiedzmy otwarcie: wiersze nie są wierszami. To w najlepszym razie gadki tatrzańskie. W najlepszym, bo bywa jeszcze gorzej. Weźmy pierwszą lepszą strofę z „Księgi":

Pomalutku ponad regiel idzie mgła,
Giewont mgłami już przykryty.
Nad Czerwone Wierchy szła
myśl górą, reglem dolnym idę ja".

W tych warunkach co najwyżej możemy gratulować z powodu wierności tematowi tatrzańskiemu i życzyć dalszych sukcesów turystycznych, ale wydrukować nie możemy. Z przesłanych dowcipów „Wróżbę" czytaliśmy pół roku temu w gazecie.

M. R. Konin. Proszę Pana, nadesłane wiersze nie mają tego, co krytyka nazywa siłą liryczną. Może poezja nie odpowiada Panu jako gatunek? W tekstach przeważają oczywiste konstatacje, jest też trochę manier stylistycznej, tak np. zaczynanie wersu od dwukropka. Czuję się na tym tumik. Jeżeli pociąga Pana właśnie poezja jako rodzaj wypowiedzi literackiej, to jeszcze nie „trafił Pan na siebie". Oczywiście — to jest moje zdanie subiektywne, zresztą innych w literaturze nie ma. Nie wykluczam, że wkrótce zdobędzie się Pan na teksty nowe i bezsporne. Takie wypadki się zdarzają.

Z. M. Opole. No dobrze, ale czytelnik ma prawo potraktować wiersz „Bo nie zaśniesz" jako narzekanie na zimę, tyle tam rekryminacji z powodu uciążliwości tej pory roku. Jest w dodatku przeciążony nadmiarem słów. Poza tym czuje się coś w rodzaju skłonności do samoudręczenia. Pan z tego chce osiągnąć efekt „tragizmu istnienia". Czy nie jest to „robione"? Tak, w młodym wieku przede wszystkim przeżywa się takie stany i wcale się nie zdziwiłem porównując tekst wierszy z odpowiednim fragmentem listu. Ale proszę mi wierzyć: osiągnął Pan efekt przedawkowania, jako czytelnik w końcu chce uciec od tych maszynopisów zaludnionych maszkarami Hieronima Boscha. Litości.

L. P. Rzeszów. Z zafascynowania przyrodą zawsze musi wyniknąć jakiś rezultat humanistyczny. Nie można pozostawać w obrębie strumyka, między drzew nie wyspowiadawszy się wreszcie jaki to przynosi pożytek dla duszy. Może nie tylko duszy. Umysłu również. Na żądanie służę dwoma (przeciwstawnymi) przykładami: Przyboś i Leśmian. U pierwszego poetyzacja ciblonnego trudu, u drugiego spojrzenie poza granice empirycznego bytu. Wiersz o przyrodzie nie może być komunikatem ze spaceru. Owszem, „Przemiany" zawierają pewną wymowę filozoficzną, ale skłonność do „małej poezyjki" istnieje. Zresztą obecnie mamy zimę. Nie wystawiajmy tych kłosów na mróz.

W. R. Radom. Ma Pan rację: treść tych wierszy, które Pan pisał w młodości nie utraciła aktualności, jak wiele spraw — dzieciństwo, miłość, uczucie dla matki — towarzysza ludzkości z pokolenia na pokolenie. Ale utraciła aktualność forma. Niestety, nie może wejść na dzisiejszy rynek to co powstało parę dziesiątków lat temu. Na rynek tekstylny, spożywczy, techniczny. Tak samo — na literacki. Nie można tego wydrukować bez pewnego cudzysłowu, pewnego porozumiewawczego mrugnięcia do czytelnika, z tego Pan sobie z pewnością nie życzy. Cóż pozostaje? Proponowałbym przy jakiejś zimowej herbatce odczytać to towarzyszom młodości, jeśli się takich znajdzie, a z pewnością będzie to miła sposobność do wspomnień. I kto wie, czy nie osiągnie Pan w ten sposób istotniejszego rezultatu niż nie jeden autor wydrukowanego dziś wiersza, który spływa po czytelniku jak woda po kaczce.

G. N. Rzeszów. Proszę popatrzeć, w jednym wierszu tyle metafor dopełniaczowych: „nocy most" „przęsło gwiazd" „okna trenów" „świerszcze chwil" „powietrza dzwon" „gołąb świtu". A wiersz ma pięć strof. Prawda, jaki jestem złośliwy? Nie, proszę Pana, to nie złośliwość. To koleżeńska (jeśli wolno mi postawić się w tej pozycji) rada. Pan „chwytami" drugiego sortu obniża wartość swojego wiersza, który potrafi zatrzymać uwagę, zaproponować interesujące spojrzenie na świat. Zresztą — jestem złośliwy, niech będzie. Jeśli jest to środek, który umożliwia nam tym ściślejsze „sprzężenie zwrotne" w prowadzonej w tej rubryce rozmowie...

A. B. Lublin. Może i tak, ale ja zawsze uważam, że w poezji powinna dźwięczeć jakaś nutka irracjonalna. I chyba bliżej racji jestem ja, skoro mogę powołać się na wiele poetyckich spełnień, wynikłych z tego irracjonalnego źródła, a jednak zrozumiałych niż Pan, który swą poetykę wyprowadza z prawideł matematycznych, ale wierszy tym sposobem powstałych zrozumieć nie sposób. Rozumie Pan przywiązanie do postulatu ścisłości — tak, w poezji jest on zasadniczy. Ale powinna to być ścisłość poetycka, a nie inna. Mam wrażenie, że swój eksperyment sam Pan potraktuje jako tymczasową zabawę.

C. G. Zamość. Bardziej to narracja o ewentualnie autentycznym wydarzeniu niż opowiadanie o pewnych zaletach literackich. Sama poprawność języka nie wystarcza. Jeśli jest to u Pana jedyny rezultat pisarskiego wysiłku radziłbym albo przestać pisać, albo zastanowić się nad tym czemu ma służyć literatura. Proszę mnie nie posądzać o drastyczność. Wcale nie powiedziałem, że przy zastosowaniu tej drugiej ewentualności coś z tego nie wyniknie.

J. A. R. Ozorków, R. G. Łódź, S. P. Wrocław — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 2)

Poziomo: 2. pisarz polski, teoretyk pozytywizmu, autor „Historii chłopów polskich", 9. przyczyna działania, 10. brak, błąd, 11. roślina liliowata hodowana w doniczkach, 12. strój, 14. król Krety, twórca labiryntu, 16. wieczny ogień, 17. troska zapobiegliwość, 19. liniowanie pionowe i poziome, 22. polecenie wojskowe, 24. ochrona myśli wynalazczej, 27. między brunetem i blondynem, 29. początek rozróby, 31. miasto w Zagłębiu Ruhry, 32. liść architektoniczny, 34. pisarz polski, fizyk, autor felietonów popularyzatorskich z dziedziny nauk ścisłych, 37. dawny sędzia wojskowy, słuchacz, 38. stado zwierząt, 39. wybitny poeta polski zmarły w 1953 r., 40. ograniczanie kompetencji organów terenowych na rzecz władz centralnych.

Pionowo: 1. port nad Zatoką Neapolitańską, 2. na choince świeci, 3. niesława, 4. bon, upoważnienie zakupu, 5. faworki, 6. mierzy się go w omach, 7. jednostka administracyjna w USA, 8. umysł, rozum, 13. gra role kochanków, 15. wielki port w Japonii, 18. góry w Europie, 20. przyczepia się do psiego ogona, 21. kuchenny toporek, 22. czarny chleb, 23. połączona kanałem z Wieprzem, 25. dowcip, kawał, 26. wielkie jezioro pod Giżyckiem, 28. wielki statek pasażerski, który zatonął na Atlantyku, 30. kapitalistyczny związek przemysłowy, 33. kawon, 35. reklama świetlna, 36. pisał w Kamenie o wykidaile.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 26

Poziomo: Szewczenko, kondor, Jewtuszenko, arkusz, dzieło, komar, Adrian, sos, magnat, diak, plus, Tagore, Ina Raptis, marka, krater, Zambia, Dostojewski, Kamena, parweniusz.

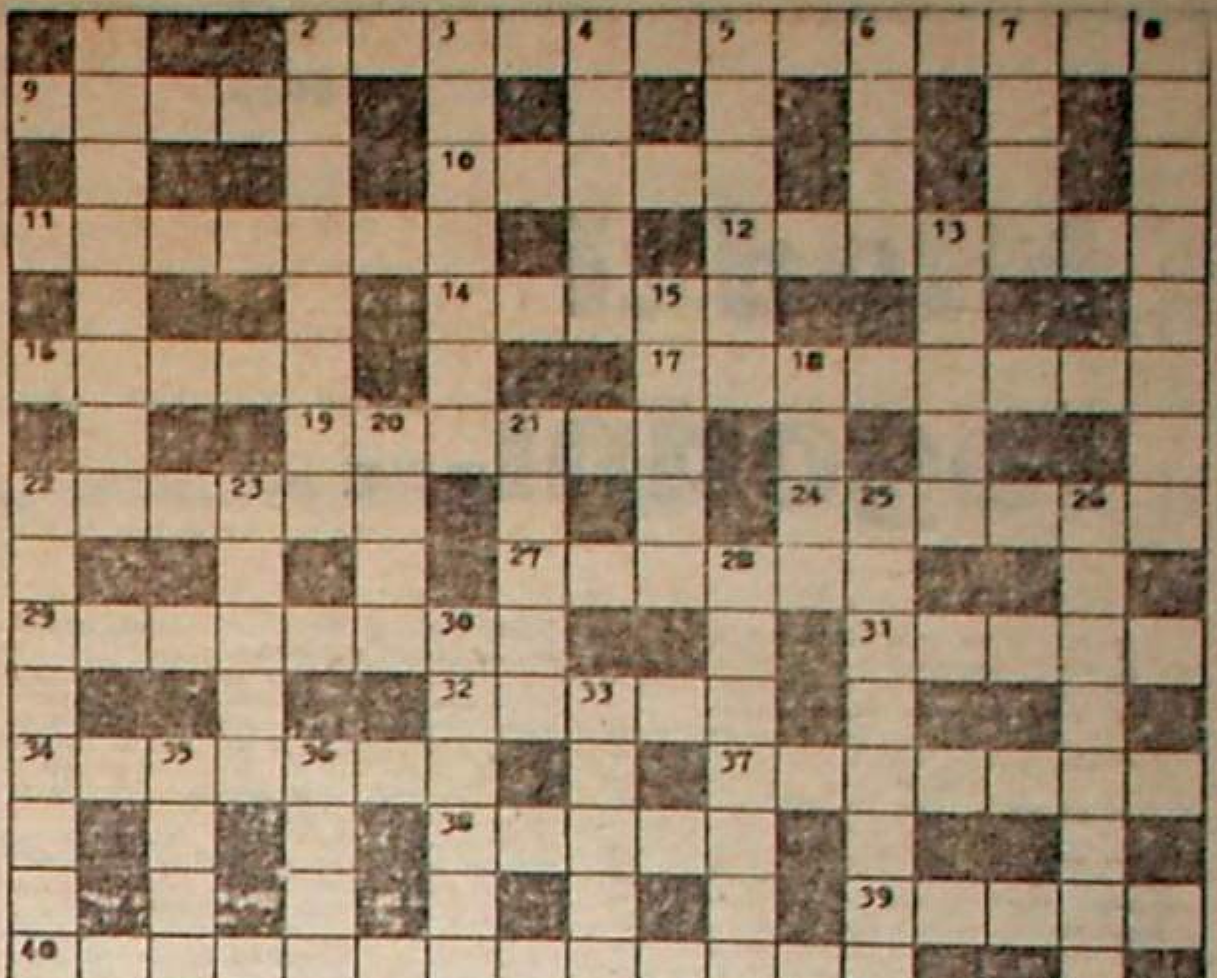

Pionowo: Skra, kruk, tors, Zieliński, chutor, niebo, Sokrates, rząd, ulgi, zdanie, klasa, Manet, Artemida, rygor, Adria, Spartakus, murarz, prom, Ifni, Akteon, Katar, atak, bieg, Adam.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 26 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Anna Grum 20-667 Lublin K. Walenroda 2/8, Grażyna Gierczak 22-100 Chełm Pl. Konstytucji 15/1, Ewa Małodobra 22-400 Zamość Robotnicza 4, Teresa Cieślelczuk 20-043 Lublin Al. Racławickie 38/11.

listy do kameny

„BEFSZTYK BEZ CEBULKI"

Udzielając odpowiedzi na notatkę prasową — krytyczną — zamieszczoną w czasopiśmie „Kamena" pt. „Befsztyk bez cebulki" informuję, że województwo chełmskie w tym okresie odczuwało brak kawy naturalnej gastronomicznej w gatunku „Kolumbijska", „Brazylijka" dlatego też z konieczności wprowadzono do sprzedaży kawę jednoporcjową liofilizowaną. Narzut marżowy na kawie wynosi od 100 — 200 proc. w zależności od kategorii zakładu i cena jest zgodna z Zarządzeniem nr 5 przewodniczącego Państwowej Komisji Cen z dnia 1 lutego 1974 roku.

Zarząd Wojewódzki Spółdzielni Spożywców w Chełmie w dniu 29.10.1977 r. podjął decyzję zastosowania marży w wysokości 56 proc. bez względu na kategorię zakładu, gdzie ustalono cenę szklanki i porcji na 24 zł. Dokonano przeceny kawy w dniu 29.10.1977 r. po zamknięciu zakładów gastronomicznych na terenie miasta Chełma należących do WSS Oddział w Chełmie.

Henryk Walczuk
Dyrektor Oddziału „Społem"
WSS w Chełmie

Do wiadomości:

1. *Urząd Wojewódzki W.H. i U. w Chełmie*
2. *Urząd Miejski W. H. i U. w Chełmie*
3. *„Społem" C.Z.S.S. w Warszawie*
4. *„Społem" W.S.S. w Chełmie*
5. *„Społem" W.S.S. Kom. K.K.W.*

Od redakcji: Zastanawiamy się, czy wysyłanie licznych pism „do wiadomości" zastąpić może realistyczny stosunek do rzeczywistości (także gastronomicznej), oczekiwany jak sądzimy przez klientów „Społem" w Chełmie. 49 zł za szklankę kawy w lokalu nie przynoszącym kawiarni w hotelu „Forum" to czysta abstrakcja. A czy potrzeba aż krytyki prasowej, aby zobaczyć sprawę w jej właściwym wymiarze?!

O ANTYKWARIAT DLA ZAMOŚCIA

Pytam otwarcie i wprost: kiedy wreszcie będzie w Zamościu antykwariat?! Wstyd, żeby miasto wojewódzkie, wielowiekowy ośrodek kultury, bibliofilstwa, stary ośrodek wydawniczy, księgarski — do chwili obecnej nie mógł zdobyć się na taką placówkę. I to nie tylko ze względu na ambicje i obowiązek kontynuowania tradycji Zamoyskich, Pomarańskich, Michała Pieszki, Henryka Rosińskiego i innych, ale przede wszystkim z powodu realnej potrzeby.

Po cóż wielu miłośników książki starej i używanej, uczniowie, księgarze, muzealnicy i bibliotekarze mają jeździć do odległych miast: do Lublina, Warszawy, Krakowa, w których często prosperuje po kilka antykwariatów — w celu poszukiwania druków znajdujących się niejednokrotnie w szafach i na strychach mieszkań Zamościa i okolic. Po cóż ci, którzy chcą wyzbyć się niepotrzebnych już im dzieł muszą dźwigać je do wspomnianych miast?! A ileż tracimy na tym, że wiele podręczników szkolnych leży „odłogiem", tracąc na aktualności, by potem pójść na makulaturę lub do pieca?!

O antykwariacie w Zamościu mówi się od kilku lat, z myślą o takiej placówce otwarto księgarnię przy ul. Zamenhofa, w której miał być dział antykwarski. Podobno powodem rezygnacji z jego uruchomienia jest brak odpowiednich druków... skupu książek — od roku czasu!

Marian Siegieńczuk
Zamość

A TE NAZWISKA?

Z zainteresowaniem przeczytałem w „Kamenie" (Nr 1) uwagi MAJ-a na temat ośmiu zbiorków poetyckich, które ukazały się w Lublinie. Szata graficzna jest znakomita, ale byłaby jeszcze znakomitsza, gdyby nie krające się w niej akcenty megalomaństwa. MAJ pisał o jednej stronie okładki tej ze zdjęciem i facsimile podpisu. Okładka ma jednak dwie strony. I otóż w ośmiu tomikach na pierwszej stronie widnieje wielka czcionką wydrukowane nazwisko. Tylko nazwisko, bez imienia! Czytam więc: W r ó b l e w s k i. O jakim Wróblewskim myśle sobie w pierwszej chwili, mogę? Jest w Polsce tylu Wróblewskich, że niektórzy z nich używają dwóch imion, aby wiadomo było o którego chodzi. Dopiero, gdy zajrzałem do środka zbiorku, zorientowałem się, że rodzina piszących Wróblewskim powiększyła się o nowego członka. Albo inne nazwisko: L i s t o w s k i. Marian Narcyz? Wiem, że kiedyś pisał on wiersze. Bliższa lektura tomiku wykazuje, że chodzi o innego Listowskiego — Cezarego.

Rozumiem — młodzi mogą nie dostrzegać śmiesznostek, ale czy ci, którzy zbiorki finansują muszą wszystko puszczać samopas? O wyborze poszczególnych wierszy, które znalazły się w zbiorkach też można dyskutować. Znalazłem np. dwa utwory, które negatywnie ocenił w poczcie literackiej krytyk jednego z czasopism. Żaden to argument, bo gusty bywają różne. Osobiście jednak zgadzam się z krytykiem: te „Słowa" są ubożuchne...

Przy okazji — mam żal do „Kameny", że nie pokazała dotąd na swoich łamach wierszy Kazimierza Smalcugi z Tomaszowa Lubelskiego. Czytałem jego debiut w „Faktach". Myślę, że z tego młodzieńca będziemy mieli pociechę. Byle nie zapeszyć!

Jan Borski
Zamość

Od redakcji: O poezji Kazimierza Smalcugi pamiętamy! Właśnie w tym numerze!

WSPÓLNA TROSKA

Zachęcamy wszystkich — osoby prywatne i instytucje — aby wstępowali do Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, którego Oddział Lubelski ukonstytuował się przy końcu minionego roku: funkcję prezesa powierzono dr Alicji Kurzatkowskiej. Naszym zdaniem, do Towarzystwa powinien należeć każdy, komu nie są obce sprawy ochrony naszej tradycji, zmaterializowanej w obiektach architektury i budownictwa ludowego, w dziełach sztuki malarskiej czy rzeźbiarskiej i we wszelkich innych dokumentach kultury i historii. „Celem Towarzystwa — czytamy w statucie — jest uświadomienie szerokiemu ogółowi społeczeństwa potrzeby i znaczenia społecznej opieki nad zabytkami, jako dobrami kultury narodowej, jak również podejmowanie wszelkimi dostępnymi środkami działań i realizowanie przedsięwzięć zmierzających do ochrony zabytków".

W skali ogólnopolskiej Towarzystwo już teraz skupia znane osobistości naszego życia społeczno-kulturalnego, naukowego i artystycznego. Przypomnijmy tylko, że przewodniczącym Zarządu Głównego TOnZ jest wiceminister Kultury i Sztuki, prof. dr Wiktor Zin, a wiceprzewodniczącymi — prof. dr Alfred Majewski i Jerzy Waldorff.

Zainteresowanym podajemy adres Zarządu Oddziału Lubelskiego TOnZ: Plac Litewski 1, 20-080 Lublin. Tel. 290—75, 226—04.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
C e n a prenumeraty rocznej — 78 —
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".
Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH Centrala Kolportażu i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.
Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 37. J-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 — Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencję zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1978/2

Młodzi łagodni...

Co pewien czas dochodzi w sztuce do głosu nowe pokolenie. Zwarza się, że przedstawiciele tegoż pokolenia ostro i zdecydowanie występują przeciwko artystom starej daty, odsądzając ich od czci i wiary. Nazywano ich „młodymi gniewnymi" można ich darzyć sympatią lub nie, można nie dostrzegać. Cokolwiek by się jednak powiedziało, przedstawiciele gniewnych muszą mieć coś do zamanifestowania, choćmiżby odrobinę fantazji czy szczypte humoru.

Nie wszyscy muszą być obrazoburcami. Coraz trudniej zresztą takich spotkać. Pojawili się natomiast „młodzi łagodni". Skromniejsi, cisi, nawet jeśli noszą długie włosy, to starannie wyczesane. Nie znaczy, że mają mniejsze ambicje. Również nie muszę chyba nikogo przekonywać, że nikt nie lubi być spychany z piedestału i, z tej przyczyny „młodzi łagodni" cieszą się sympatią wśród generacji starszych twórców. Młodzi, jak na łagodnych przystało, zachwycają się twórczością starszych kolegów, zaś tamci udzielają im szerokiego poparcia. Jakiego? Różnego, w zależności od sytuacji. Na przykład Jerzy Andrzejewski w swym dzienniku publikowanym w „Literaturze" pisze, że w takim to dniu odwiedził go młody kolega. Młody kolega jest — według autora dziennika — chyba najzdolniejszym z młodych prozaików.

Przedstawiciele różnych pokoleń literackich utrzymują różne stosunki. Na brak konfrontacji i spotkań towarzyskich nie mogą narzekać. Zakończenia konkursów literackich czy jakowe seminaria toczą się w sielskiej i monopolowej atmosferze. Jeśli ktoś się upiera, że spotkania te mogą mieć charakter niezwykle poważny, świadczyć to może jedynie o zupełnym braku rozeznania w przejawach rodzimego życia literackiego. Rzadko dochodzi tutaj do ostrych spięć czy burzliwych dyskusji. I tu twierdzę, iż młodzi dali się zagłaskać. Oto odczytanie werdyktu jury na pewnym konkursie. Piszę „na pewnym", chociaż wszystkie one podobne jak dwie krople wody i tylko nieobytym z takimi imprezami wydawać się może, że wnoszą coś nowego. Atmosfera pełna napięcia i oczekiwania. Przewodniczący przypomina nadmuchaną żabę. Zachowuje się jakoby wręczał laureatom bilety kolejki linowej, mającej wywieźć ich na szczyt Parnasu.

Dla początkującego wierszopisa nagroda wręczona w takiej intuzjerze to wielkie wyróżnienie. Nawet gdyby literat wręczający nagrody był wielkością na miarę gminy Jankowice. Nic dziwnego że kpiarska uwaga o dogorywającym konkursie budzi tak gorący sprzeciw. Ambicje przerastają możliwości. Po to, by udowodnić swoje racje, gotów przytaczać słowa, powoływać się na noty w „Głosie Gór", „Echu Nizin" i wielu innych pismach, które, owszem, zajmują się niekiedy literaturą — użyczając swych łoscinnych łamów dla debiutantów. Nie jestem czytelnikiem tych pism, więc ktoś mi może wytknąć, że drukowano tam kiedyś laureatów poważnego konkursu, których to tekstów nie czytałem, nic na tym nie tracąc chyba.

W grudniu ub. roku uczestniczyłem w Ogólnopolskim Seminarium Literackim „Debiuty 76".

Oto pojawia się na sali redaktor „Poezji". W jego kierunku pędzi z wyciągniętą dłonią „młody łagodny" poeta z Gdańska. Na tę scenę patrzy około stu z terenu całego kraju. Ludzi, młodych, różnej profesji, o różnym stażu literackim.

— Ten jest ustawiony — słyszę szepty. — Nawet nie musi pisać dobrych wierszy.

Redaktor niechętnie wyciąga dłoń. „Młody łagodny" promienieje. Z nabożeństwem ściska podaną mu dłoń. Zaprasza do swego stolika. Ciekawe, co zrobiłby, gdyby redaktor się zawahał?! Zaniosłby na plecach, czy nie zaniosłby? Chyba by zaniósł.

Niemniej wszyscy mają wrażenie bądź złudzenie, że uczestniczą w ruchu młodoliterackim. Każdy może wszak się wypowiedzieć, każdy może przeczytać wiersz w turnieju. Jednakże kto podczas dyskusji i rozmów kuluarowych nie dał się poznać jako „łagodny", przez organizatorów na obiad nie został zaproszony. Gwoli ścisłości odnotuję, że wyróżnienia tego dostąpiło około 30 osób. Na końcowe obrady, gdzie faktycznie mówić się będzie o istotnych sprawach młodej literatury, dopuszczonych zostanie tylko kilkanaście osób...

Asmodeusz

Tadeusz Gicgier

FRASZKI ZIMOWE

POCHWAŁA MROZU

Witaj, mrozie, słoneczny roziskrzony
kurzu,
który zdradzasz tendencje zgoła
wywrotowe:
panie mają rumieńce — pierwszy raz
bez różu,
panowie — bez wyszynku — nosy
fioletowe.

PRZYSŁUGA

Gdy mróz trzeszczy i śnieg prószy —
natrzyj bliźniemu uszy!

DUSZA

Ma duszę czystą jak śnieg
zgarnięty na jezdni brzeg.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Od roku 1861 jako środek tymczasowy ministerium skarbu dozwoliło sprowadzać z zagranicy bez opłat cła pewne metale dla fabryk i zakładów krajowych wyrabiających maszyny, aby tym sposobem przyczynić się do rozwoju wewnętrznej produkcji. Obecnie z rozporządzenia władzy wyższej departament handlu i przemysłu zawiadomił fabryki i zakłady przemysłowe, że na przyszłość z prawa przewozu metali z zagranicy bez opłat cła nie będą korzystały te z pomiędzy fabryk wyrabiające maszyny które dotychczas nie prosiły departamentu o nadanie im tego przywileju. Co zaś do fabryk i zakładów, które korzystały z tego przywileju, te zatrzymują prawa i na przyszłość, również mogą bez opłaty cła sprowadzać z zagranicy tylko taką ilość metali, jaką dotychczas otrzymywały corocznie.

•

Czternaście nowych latarni naftowych stanie wkrótce na przestrzeni od domu zwanego „pod kogutkiem" do dworca drogi żelaznej. Jest do życzenia aby zarząd drogi żelaznej poszedł za przykładem zarządu miasta i oświetlił drogę do dworca, dotąd bowiem tylko latarnie od dorożek rzucają tam przenikające promyki światła.

„Kurier Lubelski"

O brak pomysłowości nikt nas posądzić nie może, to tylko bieda, że pomysły i projekty pozostają w większej części bez urzeczywistnienia. Znowu notujemy projekt, który miał wyjść od jednego z urzędników drogi żelaznej dalekowschodniej. Kiedy zaczęto rozpowszechniania zgłaszanej sprzedaży pism periodycznych na dworcach oraz dostawania tym osobom kolei przejeżdżającym urządzone zostały na peronach głównych dróg żelaznych kioski transparentowe. Projekt wydaje się praktyczny mając na uwadze, że kioski warszawskie dobrze zakonkurowały się. Wspomniawszy o kioskach zdaje się nam że urządzenie jednej lub dwóch tego rodzaju rozsprzedaży pism periodycznych w Lublinie miały by rację bytu.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

Żyjemy w dobie najnowszych zdobyczy w dziedzinie techniki przystosowanej do życia codziennego. Na podstawie pewnych danych mamy możność zaistnienia rozwoju radia na terenie naszego dyrekcji Poczt i Telegrafów. Dyrekcja PiT obejmuje jak wiadomo województwo włoskie oraz część kraśnickiego. Na tym obszarze dotychczas zarejestrowane jest radioamatorów. Liczba ta stopniowo powiększa się przeciętnie dodatkiem każdego miesiąca przybywa ok. 150 konsesjonariuszy radiowych. W zestawieniu poszczególnych miejscowości okazuje się, że Radom przoduje w legalnym radioamatorstwie, gdyż obecnie posiada zarejestrowanych 900 posiadaczy aparatów odbiorczych, na II miejscu stoi dopiero Lublin ok. 400, pozostała zaś część przypada w drobnych cyfrach na różne miejscowości prowincjonalne. Stany rozwoju radia w stosunku do ludności mówią, jaką Lublin posiada należy tłumaczyć znaczną odległością dzielącą nasze miasto od stacji nadawczych. Ten powód zmusza do używania lampowych aparatów odbiorczych, których koszt jest dość znaczny nie każdy może sobie pozwolić na taki wydatek.

Położenie Lublina aż się wprost prosi o założenie radiostacji nadawczej, która by obsługiwała wschodnie połacie kraju i w dużym stopniu przyczyniłaby się do rozwoju radia.

„Głos Lubelski"

•

List Pogotowia Ratunkowego, opublikowany w numerze wczorajszym „Ziemi Lubelskiej" zawiadomił cały Lublin o smutnych perspektywach wobec których stanęli „Pogotowie". Nie sposób sobie po prostu wyobrazić żeby od pierwszego lepszego dnia w obliczu jakiegoś wypadku czy katastrofy, nie zabrzmiał donośny sygnał trąbki zwiastujący przybycie pomocy.

A miało „Pogotowie" pracy b. wiele. Nie wszyscy może znają te dzieje walki z wypadkami życia codziennego, z nieszczęściami i wypadkami.

„Ziemia Lubelska"

Wybrała: Anna Orzechowska

Casanova Pamiętniki

rys Krystyna Wójcik